Nr. 18. Warszawa, dnia 22 Kwietnia (5 Maja) 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism perwodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

GŁÓD W INDYACH.

Wrzawa jednej wojny stłumiła odgłosy drugiej. Gdy przemoc angielska ciche przetwory Transwalu, Oranii i Natalu wstrząsała piorunami wojennymi, moc żywiołowa toczyła wojnę z milionami istot ludzkich w innej części świata, na obszarach, którymi przed stu laty już podbojowa żądza Anglików nasycać się zaczęła: ubiegłej zimy podczas wojny transwalskiej wybuchł głód w Indyach. Nie chwalono się nim, nie wynoszono go na rynek wiadomości wszechświatowych, aż wreszcie on sam wypełznął, jęknął i przeraził: większy jest teraz, niż był kiedykolwiek za pamięci dzisiejszego pokolenia i wywołując wrażenie w narządach uczuciowych zbiorowego człowieka zarówno w Anglii, jak po za jej granicami, otworzył krytyce panowania angielskiego w Indyach po raz pierwszy upusty tak wielkie, że jedyny tytuł na jaki Wielka Brytania powoływać się może pod trybunałem rozumu, aby uzasadnić swe prawo do Indyj: tytuł cywilizatorskiej opieki i działalności — traci moc dokumentu rzetelnego.

Głód w Indyach jest endemicznym: sprowadza go susza. Co lat kilka klęska występuje w mniejszych, co kilkanaście w większych rozmiarach. Po strasznym roku 1866 przyszły straszliwsze lata 1875-6. Do r. 1896 dwukrotnie jeszcze powtarzały się nawiedziny moru; w tym roku wystąpił on już jak wielki potwór globowy. Ówczesny sekretarz Indyj, Hamilton — źródło nicomylne — obszar jego oznaczył na 164,000 mil kwadr. angielskich z 36 mil. mieszkańców, ale z tym obszarem stykał się inny, dotknięty tylko brakiem żywności, oznaczony na 121,000 mil kw. ang. z 44 mil. ludności. Parę lat temu znowu żywiołowe siły stanęły do walki z człowiekiem w najpiękniejszej krainie ziemskiej. Wtedy podano liczbę cierpiących na milion. Nareszcie późną jesienią r. z. klęska zaczęła się srożyć z zachodnim Indostanem z Pendżabem i w lutym r. b. ogarnęła obszar dochodzący do 300,000 mil. kw. ang. Jak w dawniejszych wypadkach, tak i teraz cierpią nietylko dzielnice bezpośredniej władzy i wpływowi rządu angielskiego poddane, ale i państwa hołdownicze i sprzymierzone tuziemcze — będące jeszcze u siebie, samorządne; ilościowy przecież stosunek ukazuje natężenie zła kilkakroć większe pod namiotem błogosławieństw cywilizacyjnych Anglii, niż w zadusznych, od wieków nieprzewietrzanych lochach autonomicznych, gdzie gospodaruje cywilizacya miejscowa, z typu swego biegunowo angielskiej przeciwna.

Niedola tegoroczna jest okropną. Na właściwym obszarze głodowym mieszka do 40 milionów ludzi, a z tego ósma część w marcu, nie mając się czem żywić, sama szła na pastwę śmierci. Obszar pokrewnego głodowi w przedniej straży głodu idącego „braku środków do życia,“ czy też „paszy“ *(food)* — obejmował 150,000 mil kw. ang. z 21 milionami ludzi. Nie obrodził ryż, nie obrodziła nawet trawa: mrze i człowiek i bydlę domowe. Pomysłowość kultury zdobywa się na nowe narzędzia uprawy gruntu, któreby pozwoliły człowiekowi wyręczyć wołu i zamiast niego pług ciągnąć — resztką sił niewydartych przez żywiołową wiedźmę. Obrazy cierpień, widm człowieczych, dramata konania całych rodzin, wymieranie całych wsi — nastręczają się nietylko pod ołówek ilustratorów, ale i pod pióro poetów w narodzie, dumnym przecież ze swej kultury, a więc i do humanitaryzmu i altruizmu zobowiązanym. Ale poezya cierpiących nie uratuje, nawet ta najszlachetniejsza ze wszystkich poezya żywego serca — poetyzująca czynami. Anglik, zajęty Transwalem i „wielką Afryką angielską“ Rhodesa, tak samo nie usłucha misyonarza, jak odwróci się od poety. Na dobroczynność prywatną, która kilka lat temu tak skuteczną okazała pomoc, w tym roku wielkiej polityki na wielką skalę publicystyka nie liczy: pozostają tylko środki rządowe i miłosierdzie samych Indyj.

Rządu indyjskiego nie można oskarżać o nieczułość polityczną. W styczniu wydawał on 17,000 f. st. dziennie na żywność dla głodnych, w kwietniu, według domniemania jednego z lekarzy, który był na miejscu, a obecnie *Sun* londyński wiadomościami o klęsce zasila — nawet 25,000. Czyni to miesięcznie 750,000 f. st. Gdyby przez pół roku od stycznia liczyć tylko po 20,000 dziennie, wypadłoby 3,600,000 funt. st. — na miarę normalnych budżetów państw cywilizowanych — pozycya ogromna, zdolna ministrów skarbu, finansistów oburzyć; ale wobec potrzeb jakże to mało! Chłonąca otchłań coraz chciwszą się staje. Do głodu, do tyfusu głodowego przybywa cholera nad Gangesem, przybywa ospa —

obie srożące się obecnie w prezydencyi bombajskiej. *Manchester Guardian* podaje statystykę tych epidemij straszliwie zaokrąglającą wrażenie klęski głodowej. Zdwojenie i potrojenie nawet zapomóg skarbowych i pomocy społeczno-państwowej możeby powstrzymało wszystkie te epidemie w ciągu kilku miesięcy do nowej pory roku, do nowych zbiorów; ale nie rozstrzygnęłoby kwestyj nasuwających się pod umysł krytyczny: dlaczego państwa samorządne w Indyach mniej cierpią, niż w jednakowych warunkach klimatycznych jednej i tej samej chwili znajdujące się posiadłości bezpośrednio angielskie? Dlaczego rząd, którego jedynem prawem w Indyach może być prawo wyższej cywilizacyi, nie obwaruje podbitego i zagarniętego kraju od klęski naturalnej przez system nawodnień? Dlaczego jako rząd opiekuńczy nie utworzy magazynów, któreby przewyżką lat urodzaju żywiły lata nieurodzaju? Dlaczego organizacya społeczna nie znajduje dostatecznych warunków odporności i rozwoju w prawach podatkowych i administracyjnych, a wobec Anglii i Anglików Indostan jako wytwórca, jako podmiot ekonomiczny jest ciągle jeszcze kolonią i przedmiotem wyzysku? Wszystkie te kwestye roztrząsnąć, na pytania poważne znaleźć poważne odpowiedzi — opłaciłoby się lepiej angielskiemu rozumowi stanu, niż piorunować na Europę za współczucie dla Boerów, jak to uczynił świeżo w Londynie, ucharakteryzowany na Jowisza, a wielce komiczne wrażenie sprawiający, margr. Salisbury.

Tydzień polityczny. Wojna trochę się ożywiła odstąpieniem Boerów od Wepeneru i opanowaniem wschodnio-południowej części Oranii przez Anglików po niepomyślnej dla Boerów rozprawie na Leensokopie. Pomyślnem dla nich było wymknięcie się z pod Wepeneru, gdzie za długo zabawili, i przedostanie się na północ od Ladybrand, gdzie im już osaczenie nie grozi. Anglicy zajęli całą linię od zachodu na wschód Bloemfontein przecinającą. Cały lewy brzeg Modderu do nich należy, nadto na prawym zajęli (Methuen) Boshof, ważny dla Kimberleyu, Brandfortu i Bloemfonteinu, a nic obojętny dla Winburga. Sprowozdawcy angielscy zapowiadają ciągle wielki pochód na Pretoryę: poczekają jeszcze na wyparowanie Boerów z Oranii i z Natalu. Wielce pomocną im być może owa niegodziwie Portugalii wydarta konwencya, pozwalająca na prowadzenie wojsk z Beiry do Umtali, a dalej do Buluvayo w Rodezyi, połączonego koleją z Capetownem. Zaskoczenie od północy, odparcie Boerów od rz. Limpopo — napędzi czarną chmurę na niebo nadziei boerskich. Beira leży na 19 równoleżniku południowym nad oceanem Indyjskim, w pobliżu dawniej znanej Sofali.

Salisbury miał na obiedzie Ligi Wielkopaństwowej w Londynie mowę na temat wierności kolonii, dzielności ich żołnierza w obecnej wojnie, a nieprawości prasy kontynentalnej, napadającej na Anglię. Anglia przyjmuje napaści ze spokojem i spodziewa się wyjść z wojny większą, niż jest.

Królowa angielska opuściła Dublin d. 26 z. m. W Anglii ze spraw politycznych najważniejszą jest obecnie sprawa zatwierdzenia przez rząd centralny federacyjnej organizacyi Ligi australskiej, którą czeka takie samo powołanie, jakie spełniły w XVIII w. Stany Zjednoczone Ameryki, wybijając się na niepodległość. Chamberlain nie chce pozwolić nawet na zupełne wyodrębnienie sądownicze; prasa go popiera.

Uroczystość pełnoletności w Berlinie traci swój charakter wyłącznie austro-niemiecki przez to, że wszystkie większe dwory przysyłają swych nadzwyczajnych przedstawicieli z życzeniami dla następcy tronu. Książę Ferdynand wypiera się zamysłów zmienienia religii i ogłoszenia się królem. W każdym razie przymierze, o ile nie jest prostem tylko zaleceniem wzajemnego ciążenia ku sobie, na podróży cesarza Franciszka Józefa zyskać może.

Rząd przedlitawski opracował prawo językowe dla Czech. Podobało się ono jakoby namiestnikowi Lobkowicowi. Posłowie polscy na zebraniu we Lwowie uchwalili opuszczenie Czechów w razie dalszej obstrukcyi. Muszą być teraz nieprzyjaciołmi na małej ścieżce dla ocalenia państwa od bezrządu, gdy we właściwej chwili, trzy lata temu, nie chcieli być przewodnikami na wielkim gościńcu praw narodowych w Przedlitawii.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

Towarzystwo opieki nad kobietami. — Rynek towaru żywego i rynek pracy. — Reforma szkoły średniej. — Walka z klasycyzmem. — Przeżytki w prawodawstwie.

Od 13 stycznia istnieje w Petersburgu nowa instytucya: Towarzystwo opieki nad kobietami. Zasadniczym celem jego jest zabezpieczenie kobiet od wszelkich pułapek i pochyłości życia moralnego, tudzież wydobywanie ofiar z przepaści. Towarzystwo ma prawo otwierać przytułki św. Magdaleny tudzież wszelkie inne instytucye, których zadaniem jest naprawa moralnych i materyalnych warunków życia kobiet. W zakresie troski o byt Towarzystwo ma zamiar dążyć do ochrony kobiet - pracownic od wyzysku i oszustwa wszelakiego, a nadto dawać schronienie i wyszukiwać pracę tym, które pozostały bez opieki i zarobków. Towarzystwo nawet w roli obrońcy staje przed obliczem sądu w razie moralnego lub materyalnego pokrzywdzenia kobiet. Nie poprzestając na Petersburgu, ma ono zamiar, zgodnie z ustawą, założyć swoje filie w różnych dzielnicach państwa, głównie w tych miastach, w których życie społeczne i ekonomiczne stworzyło mnóstwo zasadzek na kobiety, a więc w ogniskach przemysłu i handlu, w miastach portowych i zapewne w tych wszystkich miejscowościach, w których zorganizowana międzynarodowa banda handlarzy żywym towarem umieściła swoje posterunki tajne. Towarzystwo nietylko będzie podtrzymywało łączność ze swemi filiami, lecz wejdzie w ścisłe stosunki z istniejącemi już pokrewnemi instytucyami zarówno w obrębie państwa rosyjskiego, jak i za granicą, a więc i z międzynarodowym komitetem zwalczania sprzedaży kobiet, istniejącym w Londynie.

Towarzystwo ma w swoim programie „szerzenie zdrowych pojęć o moralności.“ W tym celu wolno mu urządzać odczyty, wydawać książki i broszury, a nawet pismo własne. Między innemi ustawa przewiduje także zjazdy osób współdziałających w naprawie moralnych i materyalnych warunków życia. Towarzystwo może przyjmować nieograniczoną liczbę członków płci obojej, pełnoletnich, wszystkich stanów i wyznań.

Nowa instytucya przystępując do tak szerokiej działalności, zaczyna gromadzić materyał odpowiedni; najpierw tedy zagląda do danych statystycznych.

Jeden z członków Towarzystwa, senator Koni, wygłosił właśnie odczyt, w którym podał ciekawe cyfry. Według danych policyjnych, r. 1889 w Petersburgu liczono ogółem 1,216 (?) prostytutek; w całem zaś państwie: w domach publicznych 7,840, zamieszkałych prywatnie 9,860. Według spisu najświeższego, w Petersburgu naliczono 4,740 tego rodzaju kobiet (528 w domach publicznych, 4,212 pojedynczo), w całem zaś państwie — przeszło 34,000. Oczywiście cyfry te nie dają obrazu prawdziwego. Są to kobiety, które oficyalnie zaliczono i wciągnięto do kategoryi nierządu. W rzeczywistości liczba olbrzymio przerasta cyfry podane wyżej. Obok tej rubryki widzimy kolumny innych cyfr: choroby weneryczne. Dane te są wprost przerażające...

Nowa instytucya jednak wstępuje w życie z zupełną wiarą w powodzenie swej pracy, pomimo, że działalność taka na zachodzie Europy niewiele dotychczas przyniosła owoców. Chcąc usunąć złe, trzeba wyciąć jego korzenie, głęboko tkwiące w gruncie społecznym, a tego nie potrafi zrobić żadna instytucya filantropijna, chociażby swemi ramionami objęła świat cały. Może jednak to i owo złagodzić. To też największą wartość będą miały zabiegi o naprawę warunków materyalnych licznej rzeszy kobiet, wyzyskiwanych lub pozbawionych zajęcia. O podniesieniu poziomu umysłowego tych mas można tylko marzyć... Nowa instytucya zdaje wszakże jasno sobie sprawę, że do nierządu przyczyniają się warunki pracy. Dla przykładu nawet poczyniono pewne zestawienia cyfrowe, prowadzące do prawdy, stwierdzonej już od dawna, mianowicie, że ofiarami nierządu stają się głównie te kobiety, które mają ciężkie warunki pracy, a licho zarobki. W Paryżu $^1/_3$ nierządnic rekrutuje się z szeregów szwaczek; w obrębie państwa rosyjskiego ogółem $^1/_{10}$ tej kategoryi pracownic oddaje się prostytucyi.

W Petersburgu stwierdzono urzędownie następujące warunki: Dziewczęta 12—14-letnie spędzają wraz z dorosłemi 12—15 godzin dziennie przy pracy. W chwilach „gorących,“ jak np. przed świętami, praca trwa do 3—4 w nocy, a nawet do dnia białego. To są warunki terminowania dziewcząt w szwalniach! Potem — wyzwoliny i praca na własną rękę z zarobkiem miesięcznym 15 rb. w sezonach najbardziej ożywionych. Pracownica taka oczywiście nie może marzyć o własnym pokoiku, choćby na poddaszu; musi ona wynajmować kąt, który kosztuje przeciętnie 3 rb. Na najlichsze utrzymanie wydaje 6—8 rb. Reszta, tj. 4—5 rb., pozostaje na trzewiki, ubranie, lekarza, aptekę itd. W sezonie martwym pracownica taka, jeżeli nie ma krewnych lub życzliwych ludzi, którzyby dopomogli pożyczką, musi wybierać albo najstraszniejszą nędzę, albo sprzedaż własnego ciała.

Takie warunki mniej więcej panują wszędzie, we wszystkich większych ogniskach życia, w których nowe towarzystwo postanowiło otwierać swoje pogotowia ratunkowe. Obok targowisk żywego ciała ma ono rozbić namioty miłosierdzia i posługiwać się Filantropią, jako pośredniczką w wyszukiwaniu rynków pracy...

Bądź co bądź ten nowy objaw zorganizowanej działalności filantropijnej, dotychczas znanej tylko za granicą, jest faktem znamiennym. Miłosierdzie publiczne wchodzi w układy z warunkami życia i tworzy z roślin, wybujałych na niwie swojskiej, apteczkę domową.

Troszkę niedowidząca i kulawa staruszka Oświata również korzystała niejednokrotnie z łaski szczodrobliwej pani Filantropii, do której zawsze się udaje, ile tylko razy posłyszy od społeczeństwa chrześciańską odprawę: „Niech Pan Bóg opatrzy!“ Obecnie po skończeniu pracy komisyi w sprawie przejrzenia programów szkół średnich, prasa rosyjska zaczyna się oddawać rozmyślaniom na temat właśnie tej obojętności społeczeństwa. Największą goryczą przesycone są uwagi

Siewier. Kuryera: „Jeżeli w samem społeczeństwie daje się spostrzegać pewna obojętność względem tak ważnej kwestyi — możemy to przypisać tylko całkiem naturalnemu znużeniu. Społeczeństwo zmęczyło się daremnem wyczekiwaniem, przestało wierzyć w możliwość ważnych zmian. Szkoła średnia pozostaje ciągle ta sama. Ciągle ten sam podmuch zmartwiałego formalizmu, panowanie scholastyki, ten sam personel urzędników-nauczycieli, przepełnienie klas, w których nietylko trudno pracować, ale nawet oddychać. Ciągle jeszcze nauczyciele szukają ratunku w cyrkularzach i instrukcyach, a z wykładów starannie usuwają duszę i wogóle wszystko, co tchnie oryginalnością, talentem, samodzielnością. Jakoś się przewiduje mimowoli, że wszystkie zmiany będą sprowadzone do skrócenia może o jakąś jedną godzinę języka łacińskiego na korzyść cerkiewno-słowiańskiego i do zamiany Corneliusza Nepota na Juliusza Cezara itd."

Siewiernyj Kuryer całą pracę nad reformą szkolną zaleca przedewszystkiem inicyatywie prywatnej i proponuje następujące zmiany zasadnicze, jako *minimum* niezbędnych potrzeb życiowych: 1) Szkoła średnia nie powinna pochłaniać młodzieży więcej, niż 6 lat (między 10—11 i 16—17 rokiem życia). 2) Języki grecki i łaciński powinny być zupełnie usunięte, gdyż *wcale* nie są one potrzebne. 3) Zaznajamianie uczniów ze światem starożytnym, jako żywiołem ogólno-humanitarnym, powinno się odbywać za pomocą własnego języka, tj. czytania klasyków w przekładzie. 4) Niezbędne jest rozszerzenie kursu historyi, geografii, literatury i nauk przyrodniczych. 5) Szczególny nacisk należy położyć na naukę języków nowożytnych (nie pod kierunkiem cudzoziemców). Przytem nie trzeba poprzestawać na gramatyce, lecz ćwiczyć się w tych językach za pomocą czytania dobrych pisarzów w oryginale. 6) Przedmioty drugorzędne i dodatkowe uczniowie wybierają sobie dowolnie sami lub według wskazówek nauczycieli, stosownie do tego, jaką zamierzają obrać sobie specyalność w wyższych zakładach naukowych.

Taki program może nietylko skrócić okres nauki o dwa, a nawet cztery lata, lecz nadto zaoszczędzić dużo sił duchowych i fizycznych.

Inne pisma z powodu pracy komisyi szkolnej wypowiedziały również wojnę klasycyzmowi. Ktoś w *Birż. Wied.* powołuje się na zdanie setek ludzi, którzy ze wstrętem mówią o czasach mozolnego uczenia się formuł gramatycznych łacińskich i greckich. Wielu się uskarża, że zrobiono z nich automaty pamięciowe do „wykuwania" gramatyki i innych przedmiotów. „Przyszłoby mi łatwiej nauczyć się na pamięć jakiejś powieści, niż opowiedzieć jeden z niej rozdział własnemi słowami" — mówił pewien uczeń. A oto zwierzenia klasyka-medalisty: „Uczyłem się języków starożytnych z takiem uczuciem wstrętu i męczarni, jakich zapewne doznawałby człowiek zmuszony do jedzenia padliny i jednocześnie patrzenia tylko na smaczne aromatyczne owoce..."

A jednak pomimo, że dziś w olbrzymiej większości opinia publiczna stanowczo potępia obowiązkową naukę języków starożytnych, pomimo, że powszechnie stwierdzono ujemny wpływ ich na ogólny rozwój widnokręgu wiedzy i umysłu młodzieży — pozostają one nadal, jako główne i obowiązkowe przedmioty w gimnazyach. W sferach ministeryalnych już niejednokrotnie tę sprawę poruszano przez długie szeregi lat. Obecnie, zdaje się, większość w sferach decydujących wyraziła zdanie nieprzychylne dla klasycyzmu. Można więc mieć nadzieję, że już panowanie jego będzie zachwiane. *Aoristy* przestaną uciskać mózg i dadzą mu możność szerszego polotu.

Po zasadniczem zreformowaniu szkoły średniej zniknie także system automatycznego „wykuwania," który przeszedł także do uniwersytetów i stał się środkiem zdobywania patentów.

Wypowiedziano walkę nietylko klasycyzmowi. Rewizya kodeksu cywilnego dała powód ludziom głębiej patrzącym w życie do zaznaczenia niesprawiedliwości podziału majątkowego, uświęconego przez prawo w całem Cesarstwie. Mianowicie, kobiety w drodze spadku mają prawo tylko do czternastej części majątku. Zwyczaj ten pochodzi z czasów zamierzchłych, kiedy to kobieta była w ścisłem znaczeniu kapłanką ogniska domowego. Dziś, gdy ona jest nietylko współpracowniczką mężczyzny, ale nawet niejednokrotnie ma pod swoją opieką wszystkie sprawy majątkowe, takie „odczepne" w podziale nie ma racyi bytu. *Czternastą część* należy tedy uważać jako przeżytek społeczny, który z prawa powinien być wykluczony. Wogóle należy się spodziewać, że tego rodzaju anachronizmy, niezgodne z obecnymi warunkami, rozwojem i przemianą stosunków społecznych, będą usunięte przy rewizyi kodeksu. Do tego zdaje się prawodawcy dążą.

Paweł Krzyżanowski.

RUCH KOBIECY WE FRANCYI.

Wobec zapowiedzianych z okazyi wszechświatowej wystawy dwu kongresów kobiecych, pożytecznem będzie zaznajomienie czytelników *Prawdy* z kwestyą kobiecą we Francyi. Nie chodzi nam tu o podanie wiązanki najświeższych wiadomości, lecz o charakterystykę głównego tła, które zwykle dla ludzi nie mieszkających w danym kraju bywa najmniej jasne i zrozumiałe.

Biorąc udział w dwu międzynarodowych kongresach kobiecych w r. 1889, niejednokrotnie zauważyliśmy, że cudzoziemki nie miały dokładnego wyobrażenia o ruchu kobiecym we Francyi i nie mogły sobie zdać sprawy z rozmaitych jego kierunków.

Wynikiem tej niewiadomości była niemożebność porozumienia się i wytworzenia jakichś trwalszych ogniw pomiędzy bojowniczkami sprawy. Wprawdzie Szeliga zdołała założyć międzynarodowy związek kobiet p. n. *Union universelle des femmes*, lecz ileż w to musiała włożyć starań, ile czasu poświęcić na namowy, zjednywanie i ostatecznie związek ten z takim trudem zbudowany, oparty na nader kruchych podstawach, rozsypał się niepostrzeżenie i dziś już śladu po nim nie pozostało. Hasło feminizmu okazało się niewystarczającem, bo jest przecie tyle sposobów pojmowania owego feminizmu.

W dobie obecnej zauważyć można we Francyi kilka kierunków odrębnych, odpowiadających różnym środowiskom społecznym.

Kobiety ze sfery arystokratycznej nie zmieniły swego punktu widzenia: uważają zawsze, iż zajmowanie się sprawą kobiecą nie należy do dobrego tonu, okrywa kobietę śmiesznością, a nawet rzuca pewien cień na jej moralność.

Burżuazya, stojąca u szczytu władzy, idzie naturalnie w ślady arystokracyi i stara się zachować wszelkie pozory, aby się od niej zarówno stroną zewnętrzną, jak i sposobem myślenia nie różnić.

Kobiety ze sfery burżuazyjnej, mniej zamożnej, dostarczają całego zastępu feministek, walczących na rozmaitych polach. Jedne szukają wyładowania swej energii w filantropii pod różnemi postaciami uprawianej, inne zajmują się krzewieniem idei pokoju, inne oddają się walce z alkoholizmem, z prostytucyą, inne wreszcie poświęcają swe siły kwestyi zrównania kobiet z mężczyznami w prawach cywilnych i politycznych.

Rzecz jasna, że filantropia pociąga najwięcej adeptek, bo kobiety tej kategoryi nie narażają się ani na ośmieszenie, ani na walkę z przesądami, zbierają hołdy za swoją działalność, uważaną przez prasę wsteczną za „jedyny i rozumny feminizm," który zarazem stanowi puklerz przeciw wszelkim potwarzom. Wszystkie też instytucye filantropijne zawdzięczają swoje istnienie tym kobietom.

Propaganda pokoju cieszy się również przydomkiem „rozumnego feminizmu," kobieta w tej roli niemniej jest zupełnie „na miejscu," bo jej to zadanie najodpowiedniejsze, wypływające z miłości bliźniego. To też w ostatnich czasach z inicyatywy kobiet powstało wiele kół, mających za zadanie krzewienie idei pokoju.

Walka z alkoholizmem cieszy się mniejszą liczbą zwolenniczek, może dlatego, że prowadzi ją energicznie cały zastęp mężczyzn, posługujących się tym tematem w prelekcyach i pogadankach w celu dowiedzenia, iż alkoholizm jest jedyną przyczyną nędzy, a co za tem idzie — i waśni klasowych.

O walce z prostytucyą mówić można tylko w kołach zaufanych; kobiety boją się brać udział w tej kampanii, bo nie zdając sobie jasno sprawy, do czego zmierzają ligi moralności, nie chcą ściągnąć na siebie podejrzenia, że sprzyjają prostytutkom lub że je usprawiedliwiają. Stanowczo więc uważać można, że na tych dwu polach działalności Francuzki daleko mniejszy biorą udział, niż Angielki.

Pozostaje więc feminizm czystej wody, tj. dobijanie się zrównania w prawach z mężczyznami. Reprezentują go w Paryżu następujące stowarzyszenia: „La Solidarité," „L'Egalite," „La Societé pour l'amelioration du sort de la femme" i „Ligue pour la droit des femmes." Różnic programowych pomiędzy niemi niema żadnych, są to zgrupowania osób sympatyzujących z sobą; nie przeszkadza to jednak, iż koła te żywią wzajemną nieufność do siebie.

„La Solidarité" i „L'Egalité" są nieliczne; w pierwszem z nich najwybitniejszą osobą jest Marya Martin, z pochodzenia Angielka, wydawczyni tygodnika *Journal des Femmes* (niegdyś *Citoyenne*).

„La Societé pour l'amelioration du sort de la femme" składa się ze szczątków świetnego niegdyś otoczenia Maryi Deraismes, zmarłej przed kilku laty wybitnej feministki, organizatorki i przewodniczącej kongresu praw kobiecych w r. 1889. Była to kobieta obdarzona niepospolitym talentem krasomówczym; mowy jej zręczne, dowcipne, trzymane w stylu wykwintnym, literackim, wywierały wielki wpływ w sferze bogatego mieszczaństwa, w jakiej się obracała. Wybaczano jej nawet wolnomyślność, bo jej wykwintne maniery, wspaniała toaleta, piękny powóz, no i nieskazitelność moralna wzbudzały poszanowanie i zamykały usta złośliwym. Wspominamy tu o niej dlatego, że należy ją uważać w znacznej części za twórczynię ruchu feministycznego we Francyi, w tej formie, w jakiej widzimy go dzisiaj.

Najliczniejszą i najgłośniejszą jest „Ligue française pour le droit des femmes." Założona niegdyś przez Leona Richer'a, któremu kobiety francuskie wiele zawdzięczają, odbywa ona swe posiedzenia raz na miesiąc w lokalu dziennika *La Fronde*, dzięki czemu cieszy się rozgłosem.

Przewodniczącą od lat wielu jest Marya Pognon, kobieta inteligentna, bogata i niezmiernie ambitna. Usiłuje ona zająć w Paryżu stanowisko po zmarłej Maryi Deraismes, ale nie mając jej wielkoświatowej dystynkcyi i taktu, w kołach burżuazyjnych wpływu takiego wywierać nie

może. Mowy zaś jej, zwrócone do kobiet pracujących, pomimo frazesów efektownych i haseł socyalistycznych, nie sprawiają wielkiego wrażenia; robotnice widzą przed sobą bogatą mieszczkę, której brak tylko praw politycznych, wtedy, kiedy dla nich nie mają one żadnej wartości wobec ucisku ekonomicznego.

Program Ligi w ciągu długoletniego istnienia ulegał częstym zmianom, dodawano jakiś punkt lub wykreślano, a nawet — co dziwniejsza — zmieniano w sposób zupełnie niezgodny z duchem pierwotnym. Obecnie żądania Ligi są następujące: Zrównanie płacy kobiet ze skalą zarobków mężczyzn. Reforma prawa o małżeństwie i rozwodzie. Niezależność kobiety zamężnej. Obieralność kobiet do trybunałów handlowych. Prawo wyborcze i obieralność kobiet do zawodowych sądów rozjemczych, t. zw. *Conseils des prud'hommes*. Wykształcenie całkowite i wspólne dla obu płci. Udział kobiet w Radzie wyższej i wogóle we wszelkich urzędach dobroczynności (*Assistance publique*). Uzupełnienie kodeksu cywilnego nowym artykułem: wszyscy Francuzi bez różnicy płci są równi wobec prawa.

Na szczególną uwagę zasługuje zniesienie jednego punktu, o który tyle ta sama Liga niegdyś walczyła i przelała dużo, jeżeli nie krwi, to atramentu. Jest to słynny art. 340 kodeksu Napoleona, wzbraniający dochodzenia ojcowstwa.

Na kongresie praw kobiecych z r. 1889 aż w kilku referatach wykazano poniżenie kobiet, wynikające z tego artykułu, jak również całą demoralizacyę, tkwiącą w tym przywileju mężczyzn. Obecnie Liga nie dąży do zniesienia owego paragrafu, wychodząc z założenia, iż mężczyzna porzucający kobietę, którą uczynił matką, nie godzien jest zaszczytnej nazwy ojca, jako też że kobieta, mająca poczucie godności, nie powinna odszukiwać takiego nicponia, przyjmować od niego jałmużny i hańbić dziecka przez podanie do wiadomości publicznej imienia ojca. Postawienie kwestyi w sposób tak całkiem odmienny od dotychczasowych zapatrywań będzie też jedną z różnic zasadniczych pomiędzy dwoma przygotowywanymi kongresami kobiecymi.

W celu pozyskania zwolenniczek dla powyższej opinii Liga wysłała nawet w styczniu na kongres robotnic w Brukseli delegatkę, której polecono przedstawienie referatu, wyłuszczającego zapatrywania Ligi paryskiej na ów artykuł kodeksu. Pomimo jednak, iż delegatką była panna Bonnevial, osoba ciesząca się wielką sympatyą wśród robotnic, to jednak nie zdołała ona przekonać słuchaczek, te bowiem, zgodnie z socyalistami belgijskimi, prawie jednogłośnie uznały konieczność zniesienie owego paragrafu.

Na posiedzeniach miesięcznych Ligi podnoszone bywają kwestye bieżące, o ile dotyczą praw kobiecych. Licznie zgromadzone kobiety (wstęp dla mężczyzn nie jest wzbroniony, ale nader niewielka ich liczba korzysta z przyzwolenia) wypełniają elegancką salę dziennika *La Fronde*, ale prawie nikt głosu nie zabiera. Przewodnicząca oznajmia np., że na porządku dziennym jest kwestya utworzenia t. zw. *Chambres d'agriculture*, rozpatrywana właśnie w Izbie deputowanych; wymownie i dowcipnie przedstawia ona całą niesprawiedliwość, wyrządzoną kobietom, których tylko pewna kategorya — posiadaczki rolne — będzie miała prawo głosowania; członkami jednak owych doradczych komitetów rolniczych nie mogą być kobiety. Przemówienie jej dopełnia jakaś bogata obywatelka ziemska, której pilno zaznaczyć, że od śmierci męża kieruje sama rozległem i wielostronnem gospodarstwem. Następuje głosowanie za projektem żądania szerszego udziału kobiet i wysłania w tym celu dwu delegatek do ministra. Naturalnie pani Pognon proponuje siebie i ową posiadaczkę ziemską, zapytując, kto jest temu przeciwny. Oczywiście, że w eleganckiem i dobrze wychowanem towarzystwie nikt nie okaże się tak niegrzecznym, aby protestować; wybór zatem „jednomyślnie" bywa zatwierdzany.

Drugą połowę posiedzenia — trwającego zaledwie dwie godziny — wypełnia odczyt jednej z pań, po którym również do żadnej dyskusyi nie przychodzi. Słuchaczki objawiają zawsze swe zadowolenie oklaskami, robią półgłosem pochlebne dla prelegentki uwagi, poczem najspieszniej się rozchodzą.

Ktoby jednak przybył na posiedzenie Ligi, nie mając żadnego o niej pojęcia, to wyniósłby wrażenie, że jest to koło bardzo ożywione pojęciami radykalnemi. W gruncie rzeczy jest to wszakże jedynie naleciałość powierzchowna, niebędąca bynajmniej potrzebą odczutą i gruntownie zrozumianą. Na poparcie zaś twierdzenia tego wystarczy przytoczyć fakt, że skoro niedawno zawiązane stowarzyszenie p. n. „Groupe féministe socialiste" urządziło w jednej ze wspaniałych sal gmachu „Hôtel des sociétés savantes" pierwsze zebranie publiczne, to nie przybyła tam ani jedna z feministek, pomimo iż w odezwie wyraźnie je zapraszano.

Nie można ich spotkać także na żadnem zebraniu robotniczem, z wyjątkiem jednej panny Bonnevial, starej nauczycielki, stanowiącej jedyny most zgody pomiędzy Ligą i *Frondą* z jednej strony, a warstwą pracującą z drugiej. Ona to we *Frondzie* prowadzi dział ruchu robotniczego i dzięki jej tylko *Fronda* przedostaje się do mas szerszych.

Do uzupełnienia obrazu ruchu kobiecego pozostaje mi scharakteryzowanie samego dziennika feministycznego *La Fronde*. Założony przed trzema laty, zgromadził z początku cały zastęp kobiet wybitnych na polu literackiem, jak również całe legiony tych, którym się zdawało, że posiadają iskrę „bożego talentu," godną objawienia światu. Naczelne kierownictwo objęła kobieta bogata, bardzo inteligentna z natury, ale szerszym kołom wcale nieznana. To też imię jej z początku uważane było jedynie za firmę handlową, nie pociągało, ani odstraszało kobiet. Ponieważ zaś spotykano utwory i artykuły podpisane znanemi ogólnie nazwiskami kobiet autorek, wyznających wręcz odmienne przekonania polityczno-społeczne, dziennik więc robił wrażenie organu niezależnego, którego współpracowniczki wypowiadać mogą swe przekonania swobodnie. Niedługo jednak owa harmonia panowała; wkrótce pani Durand dała się poznać, że malowaną redaktorką być nie myśli, z drugiej zaś strony okazało się w praktyce, że takie skojarzenie indywidualności całkiem sprzecznych w swych przekonaniach i zapatrywaniach jest niemożliwe.

Powoli więc starsze zaczęły się usuwać od współpracownictwa, a że młodszych nie dopuszczano, nastąpiła przeto chwila, w której upadek *Frondy* zdawał się być nieuniknionym. Epoka największego powodzenia pisma przypada na drugi rok jego istnienia. Oprócz arkusza zwykłych rozmiarów gazety codziennej, wydawano jeszcze dodatki, poświęcane każdego dnia innym kwestyom, i tak: poniedziałek: korespondencye zagraniczne; wtorek — kwestye wzajemnej pomocy i filantropii; środa — spirytyzm, okultyzm, chiromancya i inne odkrycia; czwartek — pogadanki literackie, przegląd pism, sporty i gry; piątek — mody, rady gospodarskie i lekarskie; sobota — pedagogika; niedziela — odpowiedzi na pytania czytelniczek. Dodatki te bezwątpienia były bardzo pożyteczne i cieszyły się powodzeniem, z wyjątkiem środowego, który był przedmiotem słusznych żartów. Gdy jednak pismo zaczęło tracić i współpracowniczki i czytelniczki, dodatki owe zniesiono; odtąd *Fronda* straciła swoją cechę oryginalną a stała się jedynie odgłosem innych pism codziennych. Pozostawiono tylko w numerze niedzielnym pytania i odpowiedzi, dział, który właściwie prowadzony mógłby oddawać wielkie usługi. Niestety jednak, pytania są w znacznej części niedorzeczne. Należy wszakże oddać sprawiedliwość *Frondzie*, że nie stara się dla pozyskania abonentek lawirować pomiędzy rozmaitymi obozami i wypowiada jasno i otwarcie swe przekonania.

Oto jak w ogólnych zarysach przedstawia się we Francyi ruch kobiecy w sferze mieszczańskiej. Na inny raz pozostawiamy świat kobiet pracujących, ich niedolę, dążenia i pragnienia.

Iza Zielińska.

IDEAŁ PRAWDY
ze stanowiska hygieny ciała i duszy.

IV.

To tylko nauka, czyli metoda poznania prawdy istotna, bada zarówno zdrowie i chorobę, zasady logiki i mechanizm obłędu, warunki i cechy cnoty zarówno jak i zbrodni — a bada przejawy te wszelkie właśnie dlatego, że szuka istoty prawdy i dlatego także, że ogląda się przedewszystkiem na interesy ludzkości, jej pożytek i rozwój, że właśnie służy społeczeństwu. „Artysta więc nie służy społeczeństwu — ciągnie dalej autor—a człowiek nieuznający żadnych praw kalać się nie może," istotnie już *bardziej* kalać się nie może. Ktokolwiek nie uznaje obowiązku służenia społeczeństwu, więc miłości społeczeństwa, ten musi być przez społeczeństwo potępionym. I zaiste szkarady moralne i fizyczne, które tak często stanowią dzisiaj tematy utworów sztuki, roztaczają naokół zgubną atmosferę fizycznego i moralnego zwyrodnienia i czas jest wielki, aby krytyka i opinia publiczna dały wyraz potępienia temu rozpowszechnianiu trucizn, tej zgubnej dla fizycznego i moralnego zdrowia społeczeństw akcyi, która tu i owdzie a nazbyt często występuje dzisiaj pod mianem „sztuki." Majaczenia mózgów zatrutych alkoholem, donkiszoteryą filozoficzną, która w chorej mistyce bierze urojenia za prawdę, czyny i dążenia zwyrodnionych natur, objawy rozpasanych chorobliwie instynktów, które zaledwie psychiatra lub sędzia nie bez głębokiego wstrząśnienia nerwów, nie bez zaniepokojenia nocy niejednej, spostrzegać może, podają ci kapłani prawdy w sztuce masom nacodzienną strawę duchową! „Sztuka istnieje dla sztuki" — brzmi znane hasło. Nie! sztuka istnieje dla ludzkości i jeśli nie jest dla niej obojętną, więc bez wartości, może być tylko albo pożyteczną, albo szkodliwą. Jeśli przynosi zdrową rozkosz, jeśli uszlachetnia, koi lub podnosi, jest pożyteczną. Jeśli się przyczynia do rozbudzania szkodliwych dla ciała i ducha namiętności, jeśli znieprawia, szarpie nerwy bez celu tem skuteczniejszego wzmocnienia ducha — jest szkodliwą i potępienia godną. Niema, powtarzamy, w tem życiu przejawu ducha ludzkiego, któregoby społeczeństwo nie miało prawa sądzić ze stanowiska interesów ogółu, ze stanowiska dobra.

Utwory sztuki sprawiają nam zdrową rozkosz, jeżeli są *piękne*. Bez piękna nie rozumiemy sztuki, co nie przeszkadza, by utwory sztuki tem większą nam sprawiały rozkosz, im więcej jest w nich prawdy. Prawdę bowiem nietylko pojmujemy, nietylko ją rozumiemy, ale odczuwamy ją, odczuwamy prawdę jako prawdziwość, a wzruszenia wypływające z poczucia prawdziwości należą do najbardziej dodatnich i pożytecznie na zdrowie wpływają-

cych. Ale gdy prawda wzrusza nas tem, że jest prawdziwą, niemniej treść jej może być tak potworną, tak przerażającą, tak wstrząsającą nasze nerwy, taki wstręt i odrazę w nas budzącą, że wobec ogromu ujemnych wzruszeń, a więc szkodliwych, wypływających z samej treści prawdy, ginie zupełnie dodatniość wzruszenia z samej li prawdziwości wypływająca. Utwory sztuki, w której ręce sobie podają piękno i prawda, ale prawda szlachetna, podniosła, może i grozy pełna, może przeplatana majestatyczną potęgą ujemnej natury, wobec której nabierają tem więcej blasku potęgi dodatnie, są *pożytecznemi* i stanowią istotne utwory sztuki.

Rozumiemy dobrze zupełnie okrzyk talentu twórczego: „sztuka dla sztuki!" — okrzyk podniosły świętej jego egzaltacyi. Artysta, uniesiony natchnieniem, wmyślony cały w jeden cel wcielenia treści ducha swojego w formy trwałe i zrozumiałe, wydania na świat tego, co bezwiednie niemal w nim poczęte rozpiera jego łono twórcze, trawiony ogniem świętym intuicyi, widzi wyzwolenie swoje, jedyny cel dążeń własnych, ulgę rozpierającej go świętej brzemienności w tworzeniu dla stworzenia. Tak matka w najwyższej chwili swego świętego przeznaczenia rodzi tylko żeby urodzić, i całą energię ciała swojego i woli zesrodkowywa w jedyny cel wydania na świat owocu łona swojego — obcą jest jej bezsprzecznie w owej wielkiej chwili myśl o wartości rodzinnej lub społecznej potomka swojego. Ale artysta, po za tem, że jest artystą, jest jeszcze czemś więcej, bo jest bratem współludzi, synem ojczyzny swojej. A jako rodzice dzięki prawu dziedziczności najczęściej przekazują potomności swojej zalety ducha i ciała, tak w artyście ducha podniosłego, w artyście miłującym ludzkość, gorąco przywiązanym synu ojczyzny swojej, bezwiednie, bo li pod wpływem szlachetnych pragnień wszczepionej głęboko idei sprawiedliwości i miłości, zapładnia się fantazya twórcza podniosłymi, szlachetnymi i, niech mi wolno będzie wyrzec: pożytecznymi obrazami; i dlatego dzieła jego i utwory stają się bezwiednie tendencyjnemi, w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu. Śmiesznem zaiste byłoby rozumieć tendencyjność w sztuce, przez tendencyjne prowadzenie bohaterów w tym lub owym kierunku, tendencyjne przyodziewanie ich w dane cnoty dla ich uwydatnienia, w dane wady dla ich zohydzenia, ale szlachectwo i podniosłość duszy artysty, jego wielka miłość ludzi zapłodni na pewno fantazyę jego w pomysły wielkie i szlachetne, zatrzyma uwagę duszy jego na prawdach, które wywiedziono na arenę sztuki, uszlachetniać, zachwycać i uzdrawiać, a nie zwyradniać będą społeczeństwo. I takie jest posłannictwo sztuki *quand meme*.

Przyznać trzeba, że nietylko literatura dekadentów, z których niejeden żywot swój przepędził cały między szynkownią, heterą i szpitalem, ale przeważna część beletrystyki francuskiej swojemi prawdami psychologicznemi, dokumentami duszy ludzkiej i wogóle prawdami życia działa strasznie ujemnie na zdrowie fizyczne i moralne czytających ją mas. Najlepiej to zaświadczyć mogą lekarze. I byłby, powtarzamy, czas już wielki, aby krytyka artystyczna i literacka, sądząc działalność ludzi utalentowanych, nie zapominała, że społeczeństwo nietylko ma prawo, ale obowiązek wszelkie przejawy życia sądzić ze stanowiska dobra powszechnego.

Cząstka prawdy mieści się sama przez się w każdej duszy ludzkiej, jako takiej. Prawda jest jakoby pierwiastkiem, bez którego udziału choćby w najmniejszej drobinie, niema świadomości, niema duszy. Czy powiemy: „myślę, więc jestem," czy też: „czuję, a więc rzecz istnieje," w każdym razie niewątpliwem jest dla nas, że „coś jest." Czy tylko nasze „ja" wewnętrzne istnieje naprawdę z nieskończonością obrazów duchowych, czy też obok naszego „ja" istnieje naprawdę coś innego, co nazywamy światem zewnętrznym; czy ten świat zewnętrzny jest takim, jakim nam się wydaje, czy jest sam w sobie absolutem, ale daje nam tylko pewne symbole swojej rzeczywistości — wszystko to jedno, zawsze pewna suma czegoś jest, jakaś jakość i jakaś ilość jest, i to jest już pojęciem prawdy, bez której istnienie myśli naszej byłoby niemożebnem. Bez jakiegokolwiek pojęcia prawdy człowiek zdrowo żyć nie może, a ma w sobie wszczepioną żądzę potężną pogłębiania i rozszerzania tej prawdy. Gdy osiągnie przystępną dla niego granicę poznania i sprawdzenia tego poznania, staje spokojny i zadowolony i zaczyna doznawać rozkoszy przeświadczenia, rozkoszy wewnętrznego przekonania o prawdzie, słowem rozkoszy *wiary!* Między wiarą a wiedzą zachodzi różnica tylko zewnętrzna, o ile treść wiary lub wiedzy w stosunku do wierzenia lub poznania uważać będziemy za coś zewnętrznego. Różnica *kryteryów* jest także tylko stopniowym rozwojem jednakiego współczynnika ducha naszego: głodu prawdy. Różne stopnie krytycyzmu, bez względu na jego wielką wagę, są grą tej samej zasadniczej struny ducha naszego, czy nam podaje prawdę człowiek, którego powaga wystarcza do przekonania nas o niewzruszoności tej prawdy, czy nas przekonywają zmysły nasze przy pomocy metody indukcyjnej, czy nas przekonywa analityczna i syntetyczna praca ducha naszego, wszystko to jedno, ostatecznym wynikiem jest ten stan duszy naszej, który się wyraża w słowach: „uważam coś za prawdę." Gdy umiłowanie jakiejkolwiek prawdy jest tak koniecznem dla ducha ludzkiego, nie wolno pozbawiać go jednej, zwłaszcza takiej, która jest podstawą jego moralnego życia, nie mogąc mu na to miejsce podać innej, nie wolno zachwiać choćby najpierwotniejszych, najnaiwniejszych jego kryteryów, jeśli nie dorósł on do możności posługiwania się kryteryami wyższemi. Byłoby to okrutnem okaleczaniem duszy. Jak dalece podmiotowe pojęcie prawdy, jako wyniku poznania i prawdy, jako wyniku wiary, jest jednorodne, dowodzi to, że w niektórych językach prawda i wiara jednakową noszą nazwę.

Z drugiej strony płonne są obawy o wyniki daleko i śmiało uderzającego krytycyzmu poznania. Prawda w swoim czasie i z ust prawdziwie jej poświęconych kapłanów, będzie zawsze błogosławieństwem dla ludzkości całej. Niechaj najśmielsze rzuty myśli krytycznej nauki współczesnej, sięganie najzuchwalsze po Prometeuszowy płomień nie przerażają nikogo — bo wszelka prawda, która geniuszowi ludzkiemu staje się przystępną, musi się stać mniej lub więcej pośrednio piedestałem dobra nietylko dla wybujałych szczytów umysłowości ludzkiej, ale i dla rozległych obszarów jej niziu.

Im wyżej duch ludzki się wzbija, im więcej atomów prawdy zdobywa, tem bardziej przekonywa się, że nie widzi prawd, ale tylko ich cienie, że z ograniczonością rozumu ludzkiego sprzężona jest niemożliwość ujrzenia prawdy samej jako nieograniczoności w sobie, prawdy nagiej, ale że oglądać dano nam prawdę tylko odzianą w szaty naszej własnej niedoskonałości. Jest to wielkie dla nas upokorzenie, które darzy nas razem jedyną pociechą, najbardziej nas podnoszącą, a mianowicie: że posiadamy przeczucie i jedyną niewątpliwie pewność, że „prawda" istnieje; wynika stąd, że po za tą jedną pewnością niema przekonania wolnego od wątpliwości. Rozważanie to zbawić nas winno od jednego wielkiego grzechu, godzącego najszkodliwiej w ideał dobra, mianowicie od grzechu *fanatyzmu*, a natomiast natchnąć jedną wielką cnotą, wysoce ideałowi dobra przychylną, mianowicie cnotą *tolerancyi*. Jeżeli gdziekolwiek, to ze szczególną pilnością stosować to należy do prawd natury społecznej. Fanatyzm, to nie zapał święty, to zrzeczenie się w kwestyi poznawania, najważniejszej tegoż poznania podstawy: kryteryów wszelakich, jest to przemieszczanie władz i czynności, bo przeniesienie tego, co ma się rozgrywać w sferze rozumu, do sfery uczucia, jest to zawiązanie oczu tam właśnie, gdzie oczy te przy najjaśniejszem świetle prowadzić nas powinny. Fanatyzm stronniczy w imię jakoby pewnych przekonań, więc prawd natury społecznej czy politycznej — najbardziej obraża ideał dobra społecznego, a tak dalece zaślepia, że nieraz ludzie zewszechmiar szanowni dochodzą pod wpływem takich zaślepionych uniesień do przekonania, iż w interesie stronnictwa wolno wszystkie niemal zasady moralne obrażać, najfatalniej stosując niebezpieczną zasadę, że cel uświęca środki. Pod wpływem fanatyzmu kala się zbyt często prawdę jakoby w imię prawdy, obraża się dobro w imię niby najusilniejszego dążenia do niego.

W kwestyi prawd społecznych o jednem jeszcze pamiętać należy: Jakkolwiek świętym naszym obowiązkiem jest bezinteresowna miłość przyszłych pokoleń, jakkolwiek obowiązkiem pokolenia każdego jest coś z dóbr swoich dla przyszłości poświęcić, nie godzi się jednak wymagać od teraźniejszości, aby nadto wiele na ołtarzu ofiarnym dla potomności składała, nie można narzucać za wielkich męczeństw na teraźniejszość w celu okupienia mniemanego szczęścia przyszłości. Nie możemy bowiem mieć absolutnej pewności, czy ideał społeczny przyszłości, który nam się wydaje prawdą, będzie nim w istocie; co więcej, ideały szczęścia przyszłości mogą każdemu pokoleniu wydawać się innemi, co wyszłoby na ciągłe męczeństwo teraźniejszości dla mitu szczęścia pokoleń przyszłych.

W życiu społecznem ideał prawdy i ideał dobra zespalają się w najświętszym ich związku, któremu na imię *sprawiedliwość*. I dlatego to sprawiedliwość jest najpotężniejszą dźwignią zdrowia społecznego, jedynym warunkiem już nie pomyślności, ale możliwego bytu społecznego. A znana teza łacińska: „pereat mundus fiat justitia," nie poświęca wcale świata dla ideału sprawiedliwości, ale wyraża tylko w odwróconej formie prawdę: „sine jusitia finis mundi" (bez sprawiedliwości koniec świata).

Ponieważ w sprawiedliwości mieści się razem i moment prawdy i moment dobra, przeto jeżeli można w wyjątkowych okolicznościach węzeł ten poświęcić na korzyść jednego z momentów, to tylko na korzyść momentu wyższego. I dlatego ponad sprawiedliwością góruje przebaczenie, zmiłowanie, słowem to, czego źródłem jest wielka miłość. Jeszcze i z tego względu miłość musi górować w sprawiedliwości, że prawda nie zawsze jest dostępną, że nawet widoma niewątpliwość jej może być złudzeniem, a nawet w bezwiednem obrażeniu prawdy jeszcze drżeć należy przed bezwiedną obrazą dobra.

Dla dobra można wyjątkowo milczeniem związać głos sprawiedliwości, ale niema racyi, w imię której świadomie wolno byłoby tolerować głos niesprawiedliwości. Niesprawiedliwość jest tak olbrzymim gwałtem zadanym ideałowi prawdy i dobra, że na niej żadnego zgoła znośnego stanu społeczeństwa oprzeć nie można! I bardzo trzeba odróżniać zamilczenie sprawiedliwości, co może być wyjątkowo dopuszczalnem od świadomego podtrzymywania głosu niesprawiedliwości, co w żadnym razie nie może być tolerowanem bez szwanku najpilniejszych interesów hygieny duszy i ciała.

(D. n.)

Dr. H. Nusbaum.

FEJLETON.

Z CZASU.

Nowoczesna wędrówka narodów.

Zdarzało się, że z Azyi do Europy ciągnęli bohaterowie, niosąc starannie przechowane kości przodków. Europa nigdy nie wyłaniała z siebie takich poczciwców. Wszystkie jej szlaki, wiodące do innych części świata, roją się od pielgrzymów, których zamiarem jest uratowanie własnych kości za resztkę gotówki praojców. Szukają sobie ojczyzny i są podobni do młodzieńca z bajki, który uporczywie podchodzi cudownego ptaka i prosi, ażeby mu powiedział, gdzie się ukrywa jego ukochana. Ptak powie w końcu — pieniądz także, ale zanim to uczyni, ileż energii musi wyładować jednostka, a nieraz upędzają się w ten sposób po naszym globie całe tysiące ludzi. Wojny krzyżowe wyglądają, jak spacery awanturnicze, w porównaniu z dzisiejszą walką o te miejsca na ziemi, gdzie się pieniądz najłatwiej rozmnaża.

Codzień odpłynąć można na workach miliona funtów sterlingów z Anglii aż na południe Afryki, do krainy gdzie rośnie akacya i jodła, kwitną lilie i dojrzewają figi, gdzie starzy cierpią na reumatyzm, a dzieci na chrypkę i dyfteryt. Niegdyś, na początku XVII stulecia zapędzili się tu Holendrzy i od tej chwili nieszczególnie im się powodzi. Gnębi ich pieniądz, którego szukali. Biją się obecnie z Anglikami. Ta wojna kosztuje tyle pieniędzy, że gdyby nie wojną była, lecz miłosierdziem, zapewniłaby dostatek wszystkim Boerom, a jednak dąży do ich zguby. Właściwie mówiąc, nie o zgubę tu chodzi i właśnie dlatego można ją nazwać nowoczesną wędrówką narodów. Dawny, wykopany przez pastucha miecz Attyli zastąpiony został przez pieniądz, którego nie posiada żaden pastuch, ale go sobie z rąk do rąk przerzucają całe narody w szermierce ekonomicznej. Jest to walka o rynek we współczesnem wielko-przemysłowem znaczeniu tego wyrazu. Ustrój kapitalistyczny oddawna przestał szukać tradycyi w ogólnoludzkich teoryach i utopiach, lecz zespolił się z polityką rządów i uwzględnia interesy narodowościowe: Niemiec chętnie poprzecinałby scyzorykiem z Zolingen angielskie pasy transmisyjne i nie dziwiłaby go w tym razie wzajemność Anglika. Słowem, wśród Anglików pieniądz należy kochać po angielsku, wśród Niemców — po niemiecku, a posiadanie rynku handlowego wymaga faktycznej zdobyczy terytoryalnej, gdyż konkurencya wielkoprzemysłowa stała się istotnym czynnikiem gry politycznej.

To też wydane u nas niedawno tłomaczenie dziełka p. Zeidla o Boerach odznacza się w najlepszym razie bezstronnością konia, który w pewnym biegu przychodzi „bez miejsca.“

W obecnej wojnie Anglików z Transwalem za dużo już krwi przelano, zbyt wiele nieszczęścia osobistego z nią się łączy, tyle ambicyj zadraśnięto, że w pierwszej chwili trudno w tym akordzie zagłady pochwycić równe i bezwzględne tętno kapitału. Energia spokojnej rachuby gabinetu angielskiego zaraz po pierwszych niepowodzeniach w Afryce przeistoczyła się w pospolity rozpęd zaborczy, a oddawna opracowany i rozważony program kolonizacyjny buchnął płomieniem namiętności. Jednocześnie opinia publiczna zestawiła honor Anglii z dzielnością Boerow: w razie przegranej Anglikom zawsze grozić będzie hańba, pogrom Boerów nazwie świat nieszczęściem. To też ulicznicy Londynu wynajdują zapewne przekleństwa na Boerów, a małoletni kolporter warszawski woła:

— Napad „Bojerów“ na Anglię za dwie kopiejki!

Smutno się robi, ilekroć dojdzie do tego, że się ludzie wzajemnie mordują, nie mam też zamiaru przepowiadać zwycięztwa Anglików, którzy zapewne jeńców zarzynać nie będą, ani tryumfu Boerów, którzy odeślą schwytanych wrogów do Anglii. Ta wzajemna kurtuazya będzie w najlepszym razie dowodem, że się ludzie nawet bić przyzwoicie nauczyli. Ponieważ jednak etyczna ocena tłumnego mordu nie wymaga już dzisiaj publicystycznej reklamy, więc w tej nowoczesnej pląsawicy ludów postaram się tylko uwydatnić zachowanie się kapitału.

Powiedział niegdyś Tocqueville o Stanach Ameryki Północnej, że pozorną pełnię życia yankeów cechuje pieniężna jednostajność, która pochodzi z braku tradycyi oraz z schematyzmu kapitału: Anglik w podróży do Ameryki mógł utonąć w rozmaity sposób i za uratowanie życia w rozmaity sposób Panu Bogu dziękować, ale robił miliony albo bankrutował zawsze na tych samych zasadach i w tym względzie każda fortuna, olśniewająca świat płodnością procentową, wszelki krach —, następują po sobie z dokładnością fali, na której grzbiecie myśl filozofa i poety skacze tylko z góry na dół.

Coś podobnego da się powiedzieć i o Boerach. Historyę tego narodu można zilustrować w jednym obrazie: piękny, rozwinięty mężczyzna liczy pieniądze w gronie trzech furyj, z których jedna sięga po te, które już przeliczył, druga chwyta mu z pod ręki nieliczone jeszcze, a trzecia w imieniu swych towarzyszek podaje mu dłoń dla uratowania praw ogólno-ludzkich. Kruger na wszystkich fotografiach ma taką minę, jak gdyby tym trzem damom dopiero co powiedział, gdzie się znajduje obecnie sto tysięcy dyablów. Miałby za co, gdyż od roku 1620 zdołano wypchnąć Boerów z południowego przylądka Afryki, aż do dzisiejszego Transwalu, a wszędzie skąd ustępował z Biblią pod pachą holenderski Eneasz, sadowił się skwapliwie Anglik, lub Niemiec. Kapitał był od wielu lat ową trzechosobową furyą: brał w posiadanie, albo przynajmniej w opiekę to, co już zbudowali Boerowie, umiał przewąchać, co kryją w sobie ich góry, a od czasu do czasu miał na ustach wyzwolenie niewolnictwa, lub coś podobnego. Apostolstwo idei zastępowali Anglicy w miarę potrzeby przez zwykłe podburzanie sąsiadujących z Boerami Zulusów, lub Hotentotów ku niezadowoleniu ich bożków, którzy mieli szczery zamiar urządzenia raju na ziemi. Niestety, pieniądz nie lubi spokojnego raju i nawet pod zwrotnikiem woła:

— Nic z raju — będzie, jak się ociepli!

Cóż poradzi dziki bożek, skoro deputowany w Londynie po parogodzinnej mowie o wolności narodów słyszy dźwięki marsza, żegnającego Anglików, jadących na południe pilnować drugiego końca osi, koło której ziemia się obraca. Gladstone deputowany woła o wymiar sprawiedliwości na południu Afryki, ale Gladstone— minister broni historycznej i geograficznej tradycyi Anglii. Szlachetny zapał, krańcowe protesty deklamatorów, dowcipna ironia tłuką w bok parowca państwowości angielskiej, jak kotwica szarpana przez dzlatwę, która ma wakacye i którą wiozą na spacer.

Do okrzyku „Transwal dla Boerów!“ Chamberlain zrobił dodatek: „dla Boerów, nad którymi przysługuje zwierzchnictwo Anglii.“ Taki dodatek, taki waryant hymnu patryotycznego Boerów wychodził już nieraz nakładem Holandyi lub Anglii, a od czasu do czasu zabierali głos Boerowie unisono i solo. A pieniądz procentowy, reżyser tych zapasów, pomiędzy rokiem 1884 a 1895 miał na południu Afryki swoje ulubione Monte-Carlo, zakończone krachem giełdowym w roku 1895. (Zeidel).

Ostatnie trzy lata tego okresu gorączki zeszły na gospodarce tak zwanych „unionistów.“ Są to cudzoziemscy kapitaliści, przeważnie Anglicy i Niemcy, posiadacze kopalń miejscowych. Ci mają zawsze skłonność do reform gwarantujących wolność ruchu pieniężnego, urządzają w tym celu niezwykłe owacye przedstawicielom Anglii, uciekają się do ukrytych knowań w porozumieniu z wrogami Boerów, żądają dla siebie tylko zapewnienia praw obywatelskich, ale nie lubią wyruszać w pole. Od kilkunastu lat w takich rękach w Transwalu szaleje pieniądz: powstają na sposób amerykański miasta, szerzy się oświata, a rozpędzonemu kapitaliście przychodzą do głowy najszlachetniejsze pomysły. Chcąc rozmnożyć szeregi robocze, przeprowadza prawo o wolnym związku małżeńskim dla miejscowych murzynów, udziela tym biedakom nawet kobiet białych, a zarazem żąda od murzyna, który się chce napić wódki, pozwolenia chlebodawcy na piśmie. Mając tak szeroki program, europejski przedsiębiorca sarka na wszelki chociażby najkrótszy czas próby, jakiej prawa miejscowe poddają cudzoziemców. Zwłaszcza w centrach administracyjnych kapitał dąży do zniesienia wszelkich egzaminów obywatelskich. Jego cnotą i jedyną rekomendacyą jest pośpiech: każda chwila martwej próby dla kapitału równa się śmierci — woli nie przyjść, niż czekać. Unioniści wypracowali w Transwalu „wyjątkowe wypadki“ szybszej naturalizacyi, niż tego chce prawo miejscowe. W ten sposób patryotyzm Boerów hartuje się w ogniu hałaśliwie i orężnie wypowiadanej tolerancyi, a Kruger od dziecka płoszony, jak młody jeleń przez angielską nagankę, zamykać musi na klucz prawdy biblijne, a pod pachę kładzie sobie tekę dyplomatyczną. Tak więc holenderscy pielgrzymi nie obarczali się prochami swych ojców, nie zbałamucili po drodze z Europy do Afryki ani jednej Dydony, ale za to ileż krwi i łez przelali z powodu kapitału!

Za pożyczane pieniądze Boerowie zbudowali sobie koleje, za cudzy grosz patrzą w stolicy na wyścigi konne i na ostatni wyraz komfortu, ale za swoje wszystko, za konserwatyzm, upór, za swoją korporacyjną pobożność i poczucie indywidualnej wolności, za to wreszcie, że kilkaset lat temu los rzucił ich na tę pomarszczoną od gór i rozpaloną od słońca część skorupy ziemskiej, za to wszystko mają ustawiczną wojnę. Cała plejada znakomitych podróżników nie zbadała jeszcze dokładnie Transwalu, ale pieniądz rozpatrzył się tu w oka mgnieniu. Los chce Afryce w nagrodę za obnażoną pierś Sahary — stopy wyzłocić. Pocóż grunt krwią podkładać?

Gdyby wojna w Transwalu odbywała się kilka tysięcy lat temu, współcześni murzyni powtarzaliby legendę o dobrym bogu, który przyszedł od strony wody, uderzył trójzębem o góry i dał pierwszym ludziom złoto i drogie kamienie; wyobrażenie trójzęba chowanoby w świątyniach... Co będzie za tysiąc lat? Murzyni wyniosą się jeden po drugim, a w muzeach stolic afrykańskich młode pokolenia anglezowanych Boerów będą podziwiały pierwsze zczerniałe i postrzępione akcye towarzystw kopalnianych — te dyplomy honorowe kapitalistów. A może dzisiejsze męztwo i poświęcenie Boerów, może jęk tysiąca serc kochających przyda się na coś prawnukom? Być może, iż w ten sposób pozyskają oni nadwagę w wyścigu ludów, ale będzie to nadwaga wszechstronniejszej kultury.

Tadeusz Ulanowski.

PAMIĘTNIK.

Szkodliwe bajki.

Lud polski wędruje do odległych krajów bez żadnej opieki, w najstraszniejszej poniewierce, z mniejszą znajomością drogi i celu, niż załoga Kolumba; jeżeli nawet ktoś mu miłosiernie i życzliwie zaświeci w tej pielgrzymce nocnej, to zawsze błędnym ognikiem. Do Brazylii, do tej otchłani, która pożarła tyle ofiar, udawało się już z Warszawy wielu doradców i przyjaciół łzawo-męczeńskiej emigracyi, którzy objaśniali nas o położeniu dawnych wychodźców i wskazywali następnym najbezpieczniejsze szlaki, przytułki i miejsca osadnicze. Zwykle każdy taki nowy sprawozdawca odsądzał poprzedników od wszelkiej wiarogodności. Dzięki temu tworzył się coraz większy chaos sprzecznych twierdzeń. W roku bieżącym wrócił z Brazylii p. A. Gruszecki, który opisał w *Tygodniku ilustrowanym* swoją podróż i... znowu zadał kłam poprzednikom, zwłaszcza zaś p. J. Siemiradzkiemu. Jeżeli prawdą jest to, co nam mówi, to p. S. zasługiwałby za swą niesumienność czy lekkomyślność na bardzo surową naganę. Tak np. (w książce „Za morze“) powiada on, że w Kurytybie Brazylianie stanowią „ogromną mniejszość“ i że na otwarciu pierwszego sejmu prowincyonalnego „republikę reprezentowało dziewczę w krakowskim stroju“; tymczasem według p. G. z 2,208 domów w Kurytybie do Polaków należy .. 58. Podobną wartość faktyczną mają twierdzenia o dyamentach, złocie, miedzi i innych skarbach Parany, jakoby czekających tylko na ręce chłopa polskiego. Ponieważ zaś „książka *Za morze* jest pełna wiadomości kłamliwych, obrachowanych tylko na przynętę,“ a lud ją czyta, wierzy jej i ginie przez nią; ponieważ ma ona być tylko powtórzeniem plantatorsko-kupieckiej reklamy w stylu amerykańskim, za pomocą której baron Serro-Azul, właściciel rozległych pustkowi w Paranie, chciał do tego stanu ściągnąć kapitały, więc p. Siemiradzki stał się wobec naszego ludu tak „czynnym i wpływowym agentem, o jakim nie marzył ani rząd prowincyonalny, ani centralny w Brazylii.“

Ładne odkrycia! Sam p. G. przyznaje, że ów agent był również „bezinteresownym,“ to znaczy, że opowiedział swoje bajki, przez łatwowierność i nieznajomość rzeczy. Ale i w takim razie, jakże ciężkim grzechem obarczyłyby one sumienie człowieka, który będąc doktorem filozofii i profesorem, nie umiał się zdobyć na gruntowne zbadanie prawdy i nietylko sfałszował naszą wiedzę, ale strącił i strąca tysiące biednych i ciemnych prostaczków w przepaść zawodów i niedoli! Zaiste, nad naszym stosunkiem do ludu wisi jakiś niemiłosierny fatalizm. Dawniej nie zajmowaliśmy się nim wcale, dziś durzymy go zmyśleniami wychodźczemi. Czyż już nie lepiej byłoby co do emigracyi pozostawić go własnym instynktom? Bądź co bądź, oskarżenie p. Gruszeckiego nie powinno być strzałą przelatującą mimo p. Siemiradzkiego, lecz powinien on ją — jeśli może — odbić.

Zagadka.

Jedną z najdziwniejszych zagadek naszego życia społecznego jest szczególny stosunek pomiędzy wyborcami a władzami Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Przedstawiciele tych władz są delegatami wyborców, którzy ich powołują na urzędy własną, nieprzymuszoną wolą i mocą, a pomimo to pozostają z nimi w ciągłej rozterce, sporach i niezadowoleniu. Nie licząc częstych skarg w pismach na lekceważenie interesu stowarzyszonych, na zbytni formalizm, surowość, zdzierstwo itp., przy każdych wyborach sypią się żale i wnioski, których głównym wyrazem jest myśl: nasi mandataryusze krzywdzą nas. Zdawałoby się, że tę chroniczną chorobę możnaby wyleczyć prosto i skutecznie: wybrać innych radców. Nie, ziemianie wybierają tych samych i znowu na nich się skarżą, znowu wołają o pomstę do nieba. Wprawdzie obrońcy Towarzystwa rzucają na szalę opinii publicznej (jak obecnie w *Gazecie polskiej*) zapewnienie, że „wybory w większości wypadków dają pierwszeństwo kandydatom zupełnie odpowiednim,“ ale równocześnie ten sam głos przyznaje, że „nie ulega kwestyi, iż między wyborcami a władzami Towarzystwa istnieje pewien rozdźwięk.“ Skądże on tedy pochodzi? Czy ziemianie w chwili wyborów mają rozum, który potem tracą i wylewają nieuzasadnione elegie? Albo może ta zatrata rozumu odbywa się w radcach po objęciu urzędu? Gdzie tkwi rozwiązanie tej dziwnej zagadki? Miałożby ono spoczywać w owych właściwościach szlacheckiego charakteru, które naprzód nie pozwalają oprzeć się czapce, papce i soli, a potem zsyłają rozwagę, która karci następstwa uległości? Innemi słowy: naprzód pod wpływem namów, próśb, kieliszka i półmiska zapomina się o interesie własnym i dobrze ogółu, a potem pod wpływem namysłu występuje się w ich obronie. Wielki już czas, ażeby ta zagadka była rozwiązana, a jeszcze większy, ażeby przestała istnieć.

W sprawie „przyczynków do pewnej czcigodnej autobiografii.“

Kronikarz *Kuryera codziennego* udzielił nam admonicyi z powodu naszych uwag, zamieszczonych w „Pamiętniku“ przed dwoma tygodniami. Nie mielibyśmy nic przeciwko temu: tam, gdzie istnieją zasadnicze różnice w poglądach na świat, muszą z naturalną koniecznością wytwarzać się potyczki i starcia w promieniu najdrobniejszych nawet spraw społecznych. Nie przypuszczaliśmy wszakże, aby „pan Bloch“ stanowił jakąkolwiekbądź „sprawę.“ Dopiero obrońca jego „z urzędu,“ nadzwyczaj drażliwy na punkcie „naszych znanych dobroczyńców,“ uznał za stosowne za pomocą kilku wcale niezwykłych manipulacyj logicznych nadać naszemu wystąpieniu charakter przestępstwa publicznego.

Ponieważ znaleźliśmy się na ławie oskarżonych, tedy chodzi nam przedewszystkiem o oczyszczenie aktu prokuratorskiego z „kwiatów,“ którymi umaiła go nie nasza zła, występna wola, ale bogata, prawdziwie wschodnia fantazya przeciwnika. Myśmy bynajmniej nie „wykrzyczeli“ p. Blocha *za to*, że wydał 6-tomowe dzieło o przyszłej wojnie, ani *za to*, że jeździł na kongres do Hagi, ani *za to*, że drukuje w *Bibl. warszawskiej* uwagi o wojnie transwalskie. Czyny te nie posiadają wcale kwalifikacyi przestępstwa — jak chce nasz mentor — a co więcej, same w sobie wzięte, zasługują na pochwałę. Ale *c'est le ton, qui fait la chanson* — i o ten ton nam właśnie chodziło.

Kronikarz *Kuryera* snać bardzo nieuważnie czytał uwagi nasze, jeżeli intencyj naszych nie zauważył, a odważamy się zarzucić mu, że zauważyć intencyj tych *nie chciał*. I jest to dla nas zupełnie zrozumiałem, bo ignorowanie charakteru naszych uwag leżało w interesie publicysty, który o parę wierszy niżej czyni zarzut społeczeństwu naszemu, że ono „wymyśla tym, którzy dają fundusze Kasie literackiej“ (wchodzi na scenę p. Piltz!) i śpiewa peany dziękczynne pod adresem ks. Chelmickiego z tytułu „kuchen ruchomych,“ które powstają u nas dzięki inicyatywie i poparciu p. Rosego. W ten sposób cała rzeczowa strona sporu upada: czytelnik nasz, który wywody nasze czytał i rozumiał, wie, że akt oskarżenia nie zasługuje na odprawę i walczyć byśmy musieli chyba... z cieniem.

Pozostaje tedy tylko sprawa ogólna, różnice poglądu na świat zjawisk moralnych: my istotnie nie budujemy bram tryumfalnych *niektórym* dobroczyńcom Kasy literackiej, przytułków noclegowych i kuchen ruchomych. Nie czynimy zaś tego nie dla pychy lub niezrozumienia interesów społecznych, ale dla tych szczerozłotych słów, które wypłakał ongi prorok biblijny: *„Nie ofiar mi waszych trzeba, jeno serc czystych — mówi Pan.“* Nie służy się jednocześnie Bogu i Mammonowi, albowiem między nimi płyną oceany, piętrzą się góry, albowiem nikt w dziejach ludzkich nie zdołał dotychczas z tych pierwiastków upiec kołacza kompromisu, nikt, jeno — Tartuffe.

Kronikarz *Kuryera* często otwiera przed czytelnikami swoimi najmędrszą księgę, jaka kiedykolwiek napisana została: Biblię. Nie wiadomo nam, czy kiedykolwiek zapoznał się z opowieścią, którą głosi św. Łukasz w rozdz. XX i XXI: „Strzeżcie się doktorów, którzy chcą chodzić w szatach długich i miłują pozdrawiania na rynku i pierwsze stolice w bożnicach, i pierwsze zasiadania na ucztach... A wejrzawszy ujrzał te bogate, którzy rzucali dary swe do skarbnice. Ujrzał też i niektórą wdowę ubożuchną, wrzucającą dwa drobne pieniążki. I rzekł: Prawdziwie wam powiadam, iż wdowa ta uboga więcej, niż wszyscy wrzuciła. Albowiem ci wszyscy, z tego co im zbywało, wrzucili do darów bożych: a ta z tego, co jej nie dostaje: wszystkę żywność swą, którą miała, włożyła...“

W tych słowach mieści się cała nasza zasadnicza odpowiedź na zarzuty przeciwnika a mentora naszego. Wszystkie wnioski nasze teoretyczne byłyby i są tylko tej wiekuiście pięknej paraboli konsekwencyami, cały kalejdoskop czynów dodatnich i ujemnych, który wytwarzać życie jest zdolne, tego obrazu będzie w tym lub odwrotnym sensie odbiciem. I dlatego właśnie rozchodzimy się bez żalu, ale i bez nadziei.

STOSŁAW ŁAGUNA.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Na progu lat biblijnych, w sędziwym wieku, zmarł nagle 28 kwietnia r. b. w Warszawie najmniej znany, a jeden z najzdolniejszych historyków poprzedniego pokolenia, profesor Stosław Łaguna. Szersza publiczność, a nawet inteligencya i literaci, mało o nim wiedzieli, chyba że mieli stosunki z redakcyą *Ateneum*, albo z zawodu byli historykami. Tak dalece umiał nieboszczyk oszańcować swoją osobistość, swoje nazwisko od społeczeństwa. Wypływało to po części z warunków indywidualnego życia, które miało również swoją bezsprzecznie ciekawą historyę dramatyczną, zbyt jeszcze świeżą, aby mogła być pragmatycznie opowiedzianą i krytycznie rozpatrzoną; po części zaś działały tu inne czysto wewnętrzne czynniki charakteru: dziwna, nienapotykana w naszych czasach samowładztwa parweniusza i jego duszy — *skromność**).

I pod innym jeszcze względem nie należał Łaguna do naszej krzykliwej, rozpolitykowanej epoki: tworzył niezmiernie powoli, ciężko; bóle porodowe jego twórczości naukowej trwały długo, długo; jego

*) Prace prof. Ł. są wszystkie niepodpisane. Nawet oddzielnie wydane jego doskonałe studyum o „Prawie graniczném,“ nosi tylko w tytule znaczki *St. Ł.* W sprawie tej ostatniej pracy należy zaznaczyć, że napisana ona została w r. 1858, a z zapomnienia teki autorskiej wyszła dopiero na skutek starań redakcyi „Bibl. Um. Prawnych“ w r. 1876.

umysł nie wiedział wcale, co to jest „terminowy“ artykuł, „zamówiona“ na taki a taki dzień recenzya. Dziś już trudno byłoby nietylko w Europie, ale nawet i u nas znaleźć autora, któryby po półwiekowej pracy (ur. 1833 r. w Płocku, kończył uniwersytet petersburski 1855 r.), mógł się wylegitymować z tak nielicznej produkcyi literackiej. Pod tym względem przypominał nieboszczyk rzemieślników średniowiecznych, którzy dziesięć lat umieli cyzelować puhar książęcy, albo przez całe długie życie utrwalali w drzewie święte rysy Zbawiciela.

Właśnie średniowiecze nęciło też najbardziej myśl Łaguny: całe swe życie strawił nad badaniem zagadek, co spoczywają pod mrocznym całunem średniowiecza polskiego prawa i dziejów. W prawdzie pierwsza jego doskonała praca uboczuie tylko dotyczyła dziejów polskich (Hanza nad Dźwiną w XIII w. w „Piśmie Zbiorowem“ Ohryzki, 1859), odtąd jednak oddał się zupełnie studyom właściwym, w których zakresie zajął pierwszorzędne stanowisko, jako erudyta i krytyk. Jego szkic z r. 1875 „O prawie granicznem polskiem“ — dziś jeszcze wcale nie jest przestarzały, jego krytyka hypotezy Piekosińskiego o pochodzeniu szlachty polskiej (1890) była powszechnie uznana jako najlepsza i z największą znajomością rzeczy skreślona, a te same cechy posiadały inne jeszcze recenzye, zamieszczone w *Ateneum*, a w szczególności w *Kwartalniku historycznym* („Pierwsze wieki kościoła polskiego,“ 1891; „Rodowód Piastów,“ 1897 i in.). Jego obszerne wspomnienie pozgonne o Romualdzie Hubem, skreślone nazajutrz po śmierci tego uczonego we wrześniowym zeszycie *Ateneum* z r. 1890 — jest niewątpliwie najlepszym zarysem działalności naukowej Hubego, który miał licznych historyografów w naszej i rosyjskiej literaturze. Palmę atoli zdobył sobie Łaguna mistrzowskim szkicem (*Ateneum*, 1878) „Dwie elekcye,“ w którym umiał połączyć najgruntowniejszą znajomość źródeł z doskonałą metodą historyczną i artystycznem wykończeniem opisów wypadków i charakterystyk osobistości dziejowych.

Przed kilkunastu laty sam on nakreślił taki mniej więcej ideał pracy historyka *): „Zwykle w pracy dziejopisarskiej rozróżniają trzy momenty: zebranie materyałów, zbadanie ich wszechstronne i ułożenie osiągniętych wyników w pewną skończoną formę. Naprzód trzeba się zająć ustaleniem poprawnego tekstu pomników historycznych, do czego idzie się przez porównanie wszystkich znanych rękopisów i oznaczenie genetycznego ich między sobą związku, dalej wskazać czas, w którym powstał dany pomnik, określić jego rodzaj i cel, do którego był przeznaczony, ocenić autentyczność, wydzielić to, co jest wyłączną jego własnością, od tego, co zapożyczył skądinąd, wykryć źródła tej ostatniej kategoryi, roztrząsnąć wiarogodność pierwszej. Nowe zatem powstaną pytania: czy autor mógł wiedzieć o prawdziwym przebiegu wypadków, czy był zdolny jasno zapatrywać się na nie, czy chciał powiedzieć prawdę, lub czy nie miał interesu w jej przekręceniu? Dla rozwiązania tych pytań trzeba więc poznać, o ile się da, osobistość autora, jego narodowość, stosunki rodzinne, stanowisko społeczne, koleje życia, jego poglądy i wykształcenie, jego uczucia i namiętności... a wszystkie te szczegóły zestawić z ogólnym charakterem społecznej mu epoki. Nie koniec na tem. Między pomnikami historycznymi zachodzą często sprzeczności, pozorne lub rzeczywiste: trzeba je tedy usunąć, albo wybór między niemi uczynić, albo objaśniony błąd sprostować.“ A dalej: „W badaniu historycznem, podobnie jak sądowem, przy ustalaniu prawdy faktów materyalnych daje się pierwszeństwo świadkowi naocznemu przed tym, który powtarza tylko, co słyszał, świadectwu urzędowemu przed pismem prywatnem, oryginałowi przed kopią, zgodnemu twierdzeniu kilku niezależnych świadectw przed jednostkowem. Historyk nadto zaufa więcej pomnikowi dawniejszemu, niżli późniejszemu, mającemu pochodzenie pewne, aniżeli temu, którego geneza jest zagadkową, mieszkańcowi bliższemu widowni zdarzeń, aniżeli bardziej oddalonemu, człowiekowi oświeconemu, niżli prostakowi zabobonnemu... Przy rozważaniu faktów sfery moralnej zadanie będzie trudniejszem, istota jednak metody pozostanie ta sama, zawsze bowiem chodzić będzie o wykrycie: co i jak było, jakie były przyczyny danych zjawisk, jakie z owych zjawisk wynikły skutki. Sformułowanie praw rozwoju dziejowego stanowi przy dzisiejszym stanie wiedzy pożądany może, ale dość jeszcze daleki postulat...“

Na ten dekalog pracy zgodzi się każdy, kto kiedykolwiek dotykał się badań historycznych. Kto zaś miał do czynienia z dyplomatyką, ten wie, że ideał nakreślony ręką Łaguny odpowiada mniej więcej temu, co obowiązuje dziś wogóle ten dział pracy.

Aforyzm łaciński głosi: *non multa sed multum*. W tych słowach streszcza się cała jego pisarska i naukowa działalność, nie ilościowo, ale jakościowo znaczna, nie na miarę krawca, jeno Fidyasza zakreślona praca.

Ci, co go znali bliżej, wiedzieli, że zajmowały go nietylko kwestye metody, ale że i po przez dyplomaty pergaminowe, po przez zagadki heraldyczne i epigraficzne łamigłówki przyświecał mu nietylko ideał pracy zawodowej, ale ideał historyka, co natchnienie swe czerpie u kastalskich źródeł prawdy i sprawiedliwości.

A gdyby tak z tego długiego i pracowitego życia wysnuć można było jeden wniosek, gdyby z całej tej puścizny literackiej i biograficznej można było jedno esencyonalne, wartość morału posiadające zdanie wycisnąć, powiedzielibyśmy: Należy wiele i długo myśleć, a mało — pisać *).

S. P.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

II.

Antoni Lange: *Przekłady z poetów obcych*, 2 tomy. Warszawa, 1899.

Nazwisko Antoniego Langego, jako tłomacza, często spotykać się daje na książkach najrozmaitszej treści. A czy to będzie „Estetyka“ Verona, czy francuska przeróbka Ramajany, pewien stały odruch budzi się w nas już na jakiejś drugiej czy trzeciej stronie. Jak to? W ten sposób wyrażać się może A. Lange, poeta jeden z najwytworniejszych, który kunsztownością w budowie zdania, w dobieraniu efektów, w igraszkach rymowych i rytmicznych w podziw nas zawsze wprawia? A jednak tak jest! Obecnie otwieramy te dwie książeczki jego prac, w których powinien był być nietylko tłomaczem, niewolnikiem cudzego natchnienia, lecz i poetą zarazem. To pole odpowiednie jego uzdolnieniom, tu niechybnie talent jego w całej świetności zajaśnieje. A że dziełu swemu odda się z zamiłowaniem, któżby śmiał powątpiewać? Tylko... poco autor w przedmowie już przestrzega, iż dział ostatni pochodzi z jego lat młodszych? Czyżby teraz nie chciał brać za nie odpowiedzialności na siebie? Przecie nie mamy przed sobą czyjejś puścizny pośmiertnej, drogiej nam w każdym okruchu. Od woli autora zależało wybrać najlepszą cząstkę swej pracy, resztę skazać na zapomnienie. Ach, prawda, wszak to dla odborców *Gazety Polskiej*, a ich głowy wolno zaśmiecać byle czem...

Zgoda zresztą, usuńmy z pod rozbioru wskazany dział. Sądzimy jednak, że niemałą część pozostałych przekładów należałoby autorowi również pozostawić w czasopismach lub tece, a przynajmniej uczynić względem nich podobne, jak wyżej, zastrzeżenie. Nie zawsze potrafimy to sprawdzić, gdyż nie mamy pod ręką oryginałów. Ostatecznie, nie na wiele by się to przydało: skala języków p. Langego jest tak obszerna! Mógłbym badać utwory Daniela Berzsönyi (Węgier), Aleksandra Ipsilantisa (Grek), Wilhelma Bergsoe (Duńczyk), Eryka Sjoberga (Szwed) z równym skutkiem, jak np. pismo klinowe, lub świętą mowę Wed...

Rozejrzawszy się w tem, co nam pozostało, dostrzeżemy, iż niejeden z obcych autorów nie mógłby się uskarżać na krzywdę mu wyrządzoną, gdyż dzieła ich w polskiej przeróbce nie pogasiły swych promieni. Bywa to, niestety, najczęściej tam, gdzie nikła treść i szary koloryt nie wymagają ze strony tłomacza starań o szczególną wytworność. Za wzór może tu służyć bladу „Pocałunek“ Banville'a lub suche, prozaiczne rozumowania Sully Prudhomme'a, w którym, jak się zdaje, p. L. wielce sobie podoba. Jakże często atoli natrafiamy u niego na sztywne, cienia nawet lotności niezdradzające, okresy! Jak ociężale wlecze się jego wiersz! Stosunkowo niedawno wydał p. L. swe „Studya z literatury francuskiej.“ Zobaczmy, jak się tam unosi, dajmy na to, nad „Południem Fauna“ Mallarmégo. Utwór ten, według zapewnień autora, napisany jest „językiem tak niematerыalnym, tak eterycznym, iż nieraz treść jego w mgłach się rozlewa, a dźwięk staje się tylko muzyką, pełną czarującej melodyi.“ No, i ani eterów, ani melodyi czarującej w podanym przez p. L. urywku nie znajdujemy. A nie jest to przykład wyjątkowy. Wszystko to każe nam mniemać, że albo zachwyty swe autor źle umieszcza, albo praca jego jest niedbała i wszelkiej czci dla obcego geniuszu pozbawiona. Dość porównać przekłady z Baudelaire'a w zeszłorocznem *Życiu* z przekładami tychże utworów, przez p. Langego dokonanymi. Znamy wszyscy rzewny, za serce chwytający wiersz Byrona, zwrócony do siostry, która go jedna nie opuściła, gdy świat cały go kamienował. Ale gdzież ta miłość i wdzięczność, gdzie ten ogrom goryczy i żalu, którym tchnie każde słowo poety w tych oto niezdarnie skleconych frazesach: „Choć dusza twoja znała me cierpienie, tyś się dzieliła ze mną w tej żałobie, *tak że (!)* miłości mej wszystko marzenie jedynie w tobie znalazłem ja — w tobie... Choć ci wierzyłem — mnie się nie wyparłaś, gdyś mię żegnała — *nie, by ujść brata (!)*, a gdyś czuwała — czci mi nie wydarłaś, a gdyś milczała — nie na potwarz świata (?)...“ Tak pisywał ongi Byron. Wobec tego Leconte de Lisle mógł powiedzieć o olbrzymach Kainowego grodu, że każdy z nich, powracając znużony łowami, „w grubych ustach cierpiał głód nieznośny...“ Dykcya jest ciężką i zawiłą, jeżeli poeta nie dba o łatwą budowę zdania, o dobór i ustawienie wyrażeń, po któ-

*) *Ateneum*, 1883: „Tablica paschalna Lubińska.“

*) [illegible], co zmarły prof. Łaguna napisał, [illegible] jest po czasopismach. Żadna jego praca, (wyjąwszy „Prawo graniczne“), nie wyszła oddzielnie. Sądzilibyśmy przeto, że byłoby bardzo na czasie, aby ludzie, którzy stali bliżej autora (dajmy na to redakcya *Ateneum*), zajęli się wydawnictwem zbiorowych pism jego.

rych ślizgałoby się szybko oko. Lecz to jeszcze nie wszystko. Obniżyć można nastrój oryginału przez użycie barw szarych, zamiast nasyconych światłem, przez wprowadzenie obrazów prozaicznych i ogólnikowych zamiast świeżych i oryginalnych. W ten sposób myśl poety odgadnięta będzie, lecz już bez tego leciuchnego pyłku, który sam jedynie wytwarza koloryt poetyczny. Oto np. u Langego Haraucourt tak przemawia „nad kołyską.“ „Kłamne cnoty, bezprawne prawa i te brudne zwyczaje niech twe serce precz z swych żył wygrzebie. Prawdy patrz tam, gdzie milczą kodeksy obłudne.“ Jak to serce ma coś wygrzebywać?—„z żył swych“ w dodatku. Mniejsza już o to. Lecz poety francuskiego zgoła nie obchodzą ani „te(?) brudne zwyczaje,“ ani milczenie lub obłuda kodeksów „Fausses vertus, lois sans raisons, devoirs factices, efface de ton coeur les mensonges devots. Cherche la verité *par dessus* nos justices.“ Więc patrz wyżej, *po nad* prawa pisane, nie daj prawdzie formalnej zdusić w sobie wieczystej, a probierza szukaj w nakazach własnej duszy, w czynnej woli stwarzania dobra i piękna... *To* jest u Haraucourta, ale niema u p. Langego. Weźmy inny urywek: „Nie czytaj pieweów tych starożytnych, ani tych bardów, jak gromy szczytnych, a których echo brzmi nam zdaleka z pod nieśmiertelnych stuleci wieka.“ Piękna zwrotka, ani słowa: nie można jej zarzucić nic pod względem dykcyi, nie można upatrzyć żadnej niezręczności; poeta w oryginale mówi właśnie to, co tłomacz — ale mówi bądź co bądź piękniej. Dlaczego? Bo ogólnikowy i pospolity obraz przekładu (echo z pod trumny stuleci) jest u niego konkretnym i wywołuje żywe wrażenie. Nie czytaj. powiada Longfellow, „from the bards sublime, whose distant footsteps echo through the corridors of Time.“ W umyśle powstaje wyobrażenie nieskończonych, sklepionych korytarzy, po których donośnie rozlega się ciężkie, odległe stąpanie. W przytoczonych wyjątkach przynajmniej myśl poety, jakkolwiek w postaci prozaicznej, odgadnięta być może. Nie zawsze jednak tak bywa. P. Lange jest wrażliwym na skojarzenia dźwiękowe. W tej dziedzinie rozwija kunsztowność swego wiersza; nieraz atoli „słuchowość“ jego wyobraźni płata mu figle. Nie umiejąc poradzić sobie ze znalezieniem odpowiedniego zwrotu, chwyta ten, który mu podszepnęło dźwiękowe tylko podobieństwo. Może być to zresztą dziełem przypadku, gdy w „Kainie“ każe starcom skrzyżować (croiser) ręce na piersiach, gdy tymczasem oni je opierali na laskach (crosse), lecz to już nie przypadek, jeżeli o parę kartek dalej powiada: „Biada ci! Pies szczęśliwszy, co za miastem zdycha, w straszliwej ci twej zbrodni *dojrzeć dał* Przedwieczny.“ U Leconte de Lisle'a anioł zagłady przemawia do Kaina, spoczywającego na straży swego grodu w te słowa: „Plus heureux le chien mort pourri hors de *ta* ville! Dans ton crime effroyable Jahvéh *t'a muré.*“ Jest tu naprawdę zatarte przez tłomacza przeciwieństwo między psem, gnijącym *po za obrębem* Kainowego grodu, a murami, które nie zasłonią potomstwa bratobójcy przed zemstą Jehowy, a wreszcie *t'a mure* nie jest to *t'a muri?*

Taka dowolność i takie niedbalstwo prowadzi co krok ku zacieraniu subtelniejszych odcieni, ku uprozaicznieniu treści, co się już odbija nietylko na pojedynczych ustępach, lecz wpływa na ogólny ton i koloryt wiersza. W poemaciku „Dżihan-Ara“ L. de Lisle opowiada krwawe dzieje pewnej rodziny władców mongolskich. Seib, jeden z synów Dżihana, pozabijał braci, ojca wtrącił do więzienia i sam zasiadł na stolicy przodków. Dżihan-Ara mówi doń: „Bracie! część jego (ojca) kajdan na me ręce włóż, to jedyne pragnienie me, ach, tylko tyle, by Dżihanowi słodzić niewolnictwa chwile, aby poznać piołuny tej ciemnicy głusz — zamknij nas żywych razem w tej samej mogile.“ Czy tak? Posłuchajmy samego poety: „Pourque le vieux Djihan *parolonne à son bourreau, pourque j'abjure aussi l'amertume et la haine*, enferme nous, vivant, en un même tombeau.“ Ba! ale to coś zgoła innego, zgoła innego! Pozostała wprawdzie u p. L. gorycz, bo „piołuny,“ lecz u poety córka zrzeka się jej za prawo podzielenia z ojcem więzienia — rys szczytny i rozrzewniający; a p. L. zaś myśli o tym, jak jej ciemnica gorzką będzie... Tłomaczowi widocznie chodzi o zachowanie w przekładzie tego lub owego słowa, a w jakim ono stosunku znajdzie się względem innych, jakie pojęcie lub uczucie wyrażać będzie, to już dlań jest obojętne...

Mówiliśmy dotąd wyłącznie o takich wypaczeniach myśli, z których każde zosobna zamknięte jest w szczuplejszym obrębie, i tylko ich mnogość sprawia, że pracę tłomacza niekiedy wprost nieudolną nazwać wypadnie. Lecz nasz wykwintny poeta w ten sposób także potrafi zrozumieć utwór, iżby przekład był zupełną odwrotnością oryginału. Wielki Tułacz, Kain, chce spocząć po wędrówce wielowiecznej, i każe wznieść sobie grobowiec. „Grób mi zbudujcie! Życia mego czas wnet minie. Złóżcie mnie *swobodnego pod kamiennym wzgórzem.* Tułacz chce spać. Dość miałem bólów! Umrę ninie!“ Właściwie zaś nie narzeka on na bóle, ani nawet o śmierci nie mówi, ale to drobnostka, jest tu coś ciekawszego, posłuchajmy. „Bâtissez ma tombe, car les temps de vivre sont passés. Couchez moi, libre et seul, *sur* un monceau de pierres, le Rôdeur veut dormir, il est las, c'est assez.“ Drobne słóweczko *sur* cały obraz zmienia. Już w przytoczonej zwrotce dostrzegamy sprzeczność (złóżcie *swobodnego—pod* wzgórzem), lecz w dalszych ustępach niezgodność pomiędzy różnemi częściami obrazu występuje z jaskrawością tak wielką, iż nie zaglądając do oryginału, nie wiedzielibyśmy, czego się trzymać. „Na grzbiecie złóżcie mnie w mogile, twarzą w niebios gwary (?) ...Niechaj słońce spogląda i niechaj deszcz myje piętno, co mi nienawiść wyryła nad czołem. Ciało moje przed głodnym sępem i sokołem uchroni się. Mych pustych oczu mrok nie wyje. Bojaźliwi zamilkną nad mej śmierci dołem. Ale niech jęki wichrów, niech groza katuszy czuwań nocnych, niech głodu ból, niech błąkań zwiry, niech żałoby wczorajsze i dzisiejsze kiry, niechaj agonia światła napełnia me uszy, I huczy w moim sercu, jak potoku wiry!“ Są tu dość dziwne skojarzenia. Niektóre z nich, przynajmniej, zawdzięczają swe istnienie zapewne omyłkom drukarskim. „Mych pustych oczu mrok nie wyje“ — nie ma wcale sensu, to samo „agonia światła“ — winno być prawdopodobnie „agonia świata“ *(l'angoisse du monde).* Ani wątpić jednak, że złośliwy chochlik „słuchowości“ zadrwił z poety (agonia—*angoisse*). Zastanawia nas także, dlaczego Kain zapewnia swą drużynę, iż zwłok jego nie tknie sęp ni sokół. Juścić, jeżeli zarzucają je kamieniami. Co innego, gdyby złożyć go *swobodnego* pod otwartym niebem. Nie wiemy także, w jaki sposób na przykrytego wzgórzem mogłoby spoglądać słońce, deszcz zmywać piętno, a uszy jego napełniać jęki wichrów, „agonia“ świata itp.? W oryginale, na którym niema „śmierci dołu,“ wszystko jest logiczne i wytwarza obraz jednolity. I natychmiast zrozumiemy, dlaczego ludzie zatrzymają się w niepewności, a ptactwo drapieżne ciała nie znieważy. „Or, ils firent ainsi. Le formidable ouvrage s'amoncela dans l'air des aigles déserté. L'Ancêtre se coucha par les siècles dompté, et les yeux grands ouverts, dans l'azur ou l'orage, la face au ciel, dormit selon sa volonté.“ Ma to niby znaczyć. „A więc tak uczynili. Orły uleciały z miejsca, gdzie ten *straszliwy czyn(?)* był dokonany. Pradziad usnął w mogile *latami* złamany, według woli zwrócony twarzą na upały słoneczne, na lazury i na burz orkany.“ U Leconte de Lisle'a wszystko jest wielkie i wspaniałe, u p. Langego wszystko śmiesznie karleje. Złamany *latami!* Ależ poeta pragnie nadać swej postaci nadludzkie rozmiary. Życie Kaina oblicza się na wieki, nie na lata. Straszliwy czyn... Jakiż to? aż orły się przestraszyły! Nie czynu, lecz dzieła dokonano, a tak olbrzymiego, iż ogromem swym przeraża. Kopiec kamienny wzniósł się pod obłoki, skąd pierzchły orły, a na szczycie spoczął tułacz, wpatrzony w słońce i burze. Mimo to, o kilka zwrotek niżej Kain powstaje „w jamie...“ No, i *kto* tu jest Kainem? Czy p. L. chce się dzielić laurami z p. Gaborem?

A. Drogoszewski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Robert Bracco: *Zgon miłości*, satyra w czterech aktach, w przekładzie Zofii Mellerowej.

Są artyści, którzy kują w marmurze; są, którzy odlewają ze spiżu monumentalne posągi: są wreszcie, którzy zajmują się wyrobem eleganckich figurek z saskiej porcelany. I to jest sztuką. Saska porcelana nie zdobi naturalnie świątyń, placów publicznych, ani boisk dziejowych; ustawia się ją na kominkach, etażorkach, konsolkach w buduarach, salonach, gabinetach. Nie wyrabia się z niej również Sokratesów, Keplerów, Waszyngtonów, lecz różne mopsy, margrabiątka i tym podobne figielki. Każdy artysta wie, co „wyjdzie“ w spiżu, co w marmurze a co się nadaje do saskiej porcelany. Więc w kim tli iskra prometejska, ten zwraca oko w stronę Pentelikonu, komu zaś roją się po głowie mopsiki i margrabiątka, ten — nie zwraca oczu w stronę Pantelikonu.

Jesteśmy w teatrze. Atmosfera salonowa. Elegancya, komfort, zapach perfum, piękne kobiety. A oczy tych kobiet, to jak rój różnobarwnych motyli. Mimowoli każdy staje się dzieciaczkiem i chciałby te motylki chwytać. Odzywa się orkiestra. Robi się nastrój, że dalibóg tylko się rzędem każdej oświadczać... Co oni tam gotują za zasłoną? Oj, byle nie dramat, byle nic takiego, co wymaga myślenia i łez. Za dużo perfum, ładnych kobiet i tego specyalnego nastroju, w którym się wraz z jakimś uciesznym Niemcem powiada: moja żona, twoja żona, między kolegami to wszystko jedno...

I niejeden patrząc ku scenie myśli o autorze: dajcie mu ton, co tętnem jest stulecia — przepraszam — tego „specyalnego“ nastroju — a my będziemy już owym milionem serc „wzruszonych“ jego pieśnią...

Robert Braccó uchwycił ten ton. Czy jako satyryk, czy też jako dobry kupiec, który wie doskonale, jaki towar na rynku „pójdzie?“ Podobno można być jednym i drugim zarazem, to jest takim kupcem, który umie nawet podrwiwać sobie z własnej klienteli. Ale trzeba być istotnie dobrym kupcem i dobrym żartownisiem.

Może Bracco nie jest dobrym kupcem, tylko szczęśliwym żartownisiem, którego figielki rozchodzą się po Europie, choć autor na taki rozgłos ich nie „obliczał?“ Może.

Zgon miłości! Wielkie słowo. Co to jest miłość, jeżeli o jej zgonie mamy przez cały wieczór myśleć? Myśleć? Eh, może tylko mamy się bawić jej zgonem.

Przypuśćmy, że miłość to krochmal. No, przypuśćmy, co to nam szkodzi! Krochmal, zaklęty w ziarnko pszenicy. Krowa przechodząc drogą, uchwyci kłos i zżuje go. Człowiek postępuje już wymyślniej, gdyż stawia młyny, miele ziarno, a z mąki wypieka chleb powszedni swego żywota. Kocha ten chleb i nieraz rosi go łzami. Jakże teraz postępuje „werysta"? Taki powszedni chleb nie przejdzie mu przecież przez gardło; więc musi mieć cukiernię, gdzie mu wyrabiają z owego krochmalu przeróżne ciastka, a on je próbuje, smakuje, nadgryza — bo przecież nikt się ciastkami nie objada. Aż nareszcie tyle dodaje do tych ciastek kremów, owoców, ponczu, iż znika z nich prawie krochmal i powstaje satyra — zgon krochmalu!

Mamy przed sobą opuszczoną przez męża żonę. Ani on po niej nie desperuje, ani ona po nim żałoby nie nosi. Ach, gdyby spotkała mężczyznę, któryby ją „zdobył"! Ona chce być koniecznie zdobytą. Są panny, które marzą o tem, aby się im kiedyś ktoś oświadczył śród burzy. Margrabina Anna di Fontanarosa woła więc: „niema mężczyzn!" — a na potwierdzenie jej słów Bracco wprowadza na scenę: 1) tabetyka, który istotnie może marzyć tylko chyba o zdobyciu jakiego fotelu w pobliżu: 2) koniarza; 3) grafomana. 4) bawidamka i 5) sentymentalnego idyotę. To chyba wypadałoby krzyknąć: „Jakże trudno śród takich mężczyzn zostać niewierną!" Margrabina wyrabia też z nimi niestworzone rzeczy, Wraca mąż, wraca Odyseusz do swojej Penelopy. Czy będzie się brał za bary z gachami? Nie będzie się brał za bary, boć to nie gachy. Podoba mu się żona. Trzebaby ją jednak „zdobyć." Ale jak? Żona chciałaby naturalnie dać się zdobyć, ale z ceremoniami. On wszystkich jej kaprysów odgadnąć nie może, więc do końca czwartego aktu jej nie zdobywa jeszcze.

Na takiem z desek psychologicznych skleconem rusztowaniu rozpiął autor atłasy dyalogów, niby niezrównany tapicer-dekorator, mistrz zręczności i smaku salonowego. Z każdej fałdy wyziera znakomita figurka porcelanowa. Tak, to sztuka napisana — z komfortem!

Ale - - dla kogo jest tego rodzaju sztuka? Co po niej zostaje w duszy?

Nic, nic, nic.

Utwór pisarza włoskiego jest wysoce znamienny. Teatr nasz gra podobne rzeczy bardzo dobrze, publiczność bawi się. Czegóż więcej potrzeba! Naszą publiczność gorszą tylko utwory poważne, ale nigdy takie „Zgony."

Bracco podobno nie był całkiem zadowolony z gry naszych artystów. No, niech mu kto we Włoszech tak zagra, jak mu zagrano w Rozmaitościach! Pisma niektóre wspominały o braku werwy. Dzięki Bogu, niema u nas jeszcze werwy włoskiej.

Przekładu dokonała Zofia Mellerowa, nadając mu cechę oryginału. Sztukę wystawił z wielką starannością Szymanowski. Autora przyjmowano owacyjnie. Uczczono go bankietem, na którym literaturę naszą reprezentowali pp. Maryan Gawalewicz i Aleksander Rajchman.

Andrzej Niemojewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

SZTUKA. John Ruskin „Droga do sztuki," przekład St. Koszutskiego, str. 180. Borkowski, c. 75 k.

PAMIĘTNIKI. Busch Maurycy: „Pamiętniki Bismarcka," t. I (Wojna 1870-71 r.). Sennewald.

MEDYCYNA. Dr. Goldbaum Józef. „Jak się ustrzedz chorób żołądka." Centnerszwer.

FILOZOFIA. Mastelski Juliusz: „Filozofia przyrody w zarysach," cz. I, str. 251. Wende, c. rb. 1 kop. 70.

— *Przegląd Filozoficzny*, zeszyt II, str. 131, c. rb. 1 kop. 50.

METEOROLOGIA. Inż. Domczyński: „Przepowiadanie pogody" (Wozmożnost' toczniho predskazanja pogody). Petersburg, str. 11.

SPRAWOZDANIA. „Sprawozdanie osiemnaste z czynności komitetu Kasy im. Mianowskiego za rok 1899."

POEZYE

SKARBY.

Myślę, patrząc na morze, że pod fali szatą
Leży na dnie niejedna drogocenna perła,
Która warta jest mitry cesarskiej i berła!
Gdybym ją znaleźć mogła, byłabym bogatą.

Myślę, widząc na ziemi doliny i garby:
W nich leżą nieodkryte dyamentów gniazda,
Tam niejeden Kohinor świetniejszy, niż gwiazda;
Gdybym go mogła znaleźć, posiadłabym skarby.

I na tłum ludzki patrząc, myślę, że w tym tłoku
Jest może głowa, coby większy mi skarb była,
Niż wspaniała perła i dyamentu bryła.

Tylko że niemasz takiej władzy w mojem oku,
By odkryć drogocenną perłę w morskim szumie,
Kohinor w głębi ziemi i tę głowę w tłumie.

Marya Grossek.

DZWON.

Rozkołysany dzwon cudnej roboty
Chwiał się w powietrzu, a w słońca promieniu
Błyskał, choć z bronzu, jak gdyby był złoty,
A na spiż czerniał, gdy znalazł się w cieniu.

Niezmordowanie powtarzał obroty;
Podziw się szerzył śród patrzących ludzi,
Że dzwon tak wielki, a jednak nie budzi
Żadnych porywów, marzeń, ni tęsknoty.

Próżno słuch prężą: w powietrzu się trzyma
Jeno wark głuchy, zresztą żadna nuta
Skłóconej sfery dźwiękiem nie przewierca.
Co to jest? Czemu nie słychać olbrzyma?
Lśniąca powłoka misternie wykuta
Była, lecz wewnątrz brakowało serca.

G. Daniłowski.

W DALI.

Petersburg. *Nowosti* poświęciły osobny artykuł działalności Banku włościańskiego. Ponieważ oświetlenie tego pisma jest bardzo charakterystyczne, ponieważ poruszone są tam sprawy bardzo ważne, więc uważamy za stosowne zapoznać czytelników z treścią tego artykułu: Osoby, należące do stanów t. zw. uprzywilejowanych, zwracają się często do władzy z podaniami o pozwolenie korzystania z ustawy Banku włościańskiego w celu nabycia ziemi dla osobistego jej uprawiania. Nie chodzi tu bynajmniej o ludzi inteligentnych, którzyby chcieli zająć się uprawą ziemi; większość interesantów tego rodzaju, pomimo należenia do stanów uprzywilejowanych, nie umie ani czytać, ani pisać. Rzecz oczywista, że są to rolnicy z urodzenia i powołania, którzy jednak, nie posiadając ziemi własnej, znajdują się w daleko gorszych warunkach, niż włościanie. Należy dodać, że Bank włościański oddawna był zmuszony rozszerzyć sferę swojej działalności. Już w r. 1885, a więc w 3 lata po założeniu, do korzystania z usług jego byli dopuszczeni t. zw. „diesiatyńszczycy" w gubernii Chersońskiej, należący przeważnie do stanu mieszczańskiego. W kilka lat później przepisy te zastosowano do mieszczan prawosławnych w guberniach zachodnich. Wreszcie w r. 1895 prawo zaciągania pożyczek z Banku włościańskiego rozciągnięto wogóle na wszystkich mieszczan, mieszkających na wsi i zajmujących się rolnictwem. Na uwagę zasługują motywy tego ostatniego rozporządzenia. Większość mieszczan należy do stanu mieszczańskiego tylko *de nomine*, właściwie zaś w niczem nie różni się od włościan. Bardzo często zresztą do stanu mieszczańskiego zapisywali się włościanie, którzy wyrzekli się swoich nadziałów, ale w gruncie rzeczy pozostali rolnikami. Do kategoryi tej weszli i dawni poddani, którzy zostali uwolnieni przez swoich panów przed 1861 r. Otóż, zdaniem Rady państwa, udzielanie pożyczek mieszczanom, którzy mieszkają na wsi i zajmują się rolnictwem, w celu nabywania ziemi na własność, nie może przekraczać zadań, dla których założono Bank włościański. Motywy powyższe trzeba jednak zastosować i do osób, należących do innych stanów. Istnieją całe okolice szlacheckie, których mieszkańcy trybem życia nie różnią się niczem od włościan. W niektórych guberniach istnieją nawet całe osady „książąt," wiodących włościański tryb życia. Z drugiej strony stan t. zw. obywateli honorowych, dziedzicznych i osobistych zapełnia się zwykle dziećmi duchownych i urzędników. Dzieci takie bardzo często nie odbierają prawie żadnego wykształcenia, ale rolnictwem zająć się nie mogą, gdyż przepisy nie pozwalają im korzystać z pomocy Banku włościańskiego przy nabywaniu ziemi. Rzecz jasna, że Bank włościański powinien być instytucyą nie stanową, ale ogólnie kredytową celem ułatwienia nabywania ziemi niewielkiemi częściami osobom, zajmującym się uprawą roli bez różnicy pochodzenia, stanu i wyznania, gdyż samo państwo jest zainteresowane w podniesieniu dobrobytu ludności rolniczej, lecz nietylko ludności rolniczej włościańskiej.

Kijów. Korespondent *Kijewlanina* z Odesy podaje następujące ciekawe informacye: Pozwolenia na przesiedlenie się do kraju Południowo-Usuryjskiego z gubernij południowo-zachodnich otrzymało ogółem 5,000 osób, z których największa liczba przypada na gub. Kijowską; z Wołyńskiej wyjeżdża 461 włościan, a z Podolskiej tylko 70. Partye przesiedleńców nadciągają do Odesy częściami. Tak np. 6 marca przyszła tu pierwsza partya z gub. Kijowskiej, złożona z 1.502 włościan, których ulokowano na parostatku „Odesa." D. 22 marca nadciągnęła druga partya wychodźców z gub. Kijowskiej (880), do których dołączono włościan z gub. Wołyńskiej; przesiedleńców umieszczono na parostatku „Orzeł." Trzecia partya, złożona z 816 włościan z gub. Kijowskiej, nadeszła do Odesy w d. 27 marca: umieszczono ją na parostatku „Niżnij Nowgorod." W tych dniach oczekujemy tu jeszcze dwóch partyj, które odjada do Władywostoka na parostatkach „Tambow" i „Władywostok." Do r. 1895 do kraju Usuryjskiego emigrowali przeważnie włościanie z gub. Czernihowskiej, Połtawskiej i Charkowskiej; w tym roku dopiero zaczęła się masowa emigracya z gub. Kijowskiej, która odrazu pod względem liczebnym wychodźtwa zajęła pierwsze miejsce. Należy dodać, że liczba podań o przesiedlenie była przynajmniej pięć razy większa od ilości wydanych pozwoleń. W r. 1901 ma być zrobiona pierwsza próba przewozu wychodźców drogą lądową, tj. koleją Syberyjską.

Wilno. Sprawozdanie za rok 1899 Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Wilnie dowodzi, iż instytucya ta stale się rozwija, jakkolwiek dość powoli. W roku sprawozdawczym było 11 pożarów ze stratą 1,000 rb. Czystego dochodu w r. 1899 osiągnięto 17,600 rb. Kapitał zakładowy powiększył się do 110,000 rs. Nieruchomości ubezpieczonych było 678 na ogólną sumę 7½ mil. rb. Ogólne zgromadzenie zatwierdziło wniosek zniżenia dla 12-letnich ubezpieczeń z 20 na 25% od pierwotnej opłaty rocznej. Prezesem Tow. pozostał i nadal p. Trotzig, a członkami pp. Galiński i M. Jamont (ponownie wybrany znaczną większością). — Według spisu ludności z r. 1897, gubernia Wileńska

zajmuje przestrzeń 36,825 w. kw. i ma ludności 1,591,207, mianowicie: w powiecie Dziśnieńskim 204,923, Lidzkim 205,767, Oszmiańskim 232,559, Święciańskim 172,131, Trockim 203,401, Wilejskim 208,013 i Wileńskim 363,313. Gęstość zaludnienia wynosi 43 mieszkańców na wiorstę kw. średnio, albowiem najwyższą ma pow. Wileński (67) i najmniejszą Wilejski (27). Włościan gub. liczy 1,197,309, mieszczan 305,315, szlachty 70,650, cudzoziemców 1,814. Miasta mają 198,007 mieszkańców (12,5%). Tu atoli nie wchodzi w obrachunek ludność 80 miasteczek, wynosząca 133,487 głów, tj. 870. Miasta liczą: Wilno 154,532 mieszk., Lida 9,325, Oszmiana 7,214, Dzisna 6,756, Święciany 6,025, Druja 4,742, Troki 4,240, Wilejka 3,560, Radoszkowicze 2,615; z miasteczek zaś na uwagę zasługują: Smorgonie 8,903, Głębokie 5,564, Wołożyn 4,533, Iwje 3,652, Ejszyszki 3,196. Jednostek gospodarczych spis wykazał 267,128, w tej liczbie grup rodzinnych 266,751. Piśmiennych, nie licząc dzieci w wieku do lat 6 włącznie, gubernia ma 35%.

KRONIKA.

Szkoły. Ministeryum oświaty zatwierdziło zapis testamentowy 1.200 rb., uczyniony przez mieszkańca Łodzi, Augusta Krygiera, na rzecz funduszu stypendyalnego dla uczniów łódzkiej szkoły handlowo przemysłowej.

— Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratorów okręgów naukowych, iż uczenice gimnazyów i progimnazyów żeńskich, do czasu pozostawania w tych zakładach, nie mogą składać żadnych egzaminów specyalnych, jak np. z muzyki w konserwatoryum i t. p.

— Na utrzymanie uniwersytetu warszawskiego w r. z. z funduszów skarbu państwa wydano 305.154 rb., w tej sumie 209,784 rb. na pensye, 52,200 na wynagrodzenie dodatkowe osób pochodzenia rosyjskiego, na potrzeby naukowo i gospodarcze 42,161 rb. Środków specyalnych wpłynęło 113,852 rb. W rzeczywistości zaś z sum skarbowych wydatkowano 293,840 rb. i ze specyalnych 114,878 rubli.

— Szkół rzemieślniczo-niedzielnych istnieje obecnie w Warszawie 44, w których uczy się ogółem 2,900 uczniów. Na utrzymanie tych zakładów miasto wydaje rocznie 26,594 rb., skarb dopłaca 3,000 rb. Oprócz tego istnieje szkoła niedzielno-handlowa, utrzymywana przez zgromadzenie kupców m. Warszawy, kosztem 8,000 rb. rocznie: uczęszcza do niej przeszło 750 uczniów.

Dobroczynność. Rodzina Bernarda Hantkego złożyła w *Kur. Warsz.* 10,000 rb. na różne cele dobroczynne. Niezależnie od tego córki i synowice zmarłego postanowiły przy Towarzystwie zakładów metalurgicznych B. Hantkego założyć przytułek dla robotników niezdolnych do pracy.

Ruch kobiecy. W Medyolanie zaprojektowano wzniesienie „domu związków kobiecych" (Casa dell' unione femminile). Instytucya ta ma być urządzona na sposób „Women's Institute" w Londynie i „Maison du peuple" w Brukselli. Każdy działający w Medyolanie związek kobiecy ma otrzymać w „domu" własne mieszkanie; biblioteka ma być wspólna. W komitecie zasiada Ada Negri.

— W Rzymie założono klub kobiecy, w którego lokalu odbywają się wykłady z zakresu kwestyi kobiecej (o ruchu kobiecym, o stanowisku prawnem kobiet, o wpływie kobiet na literaturę itd.); przy klubie istnieje biblioteka, poświęcona specyalnie kwestyi kobiecej — pierwsza we Włoszech.

— Według statystyki podanej przez *Frondę*, we Włoszech, od 1877—1898 roku otrzymało 135 kobiet dyplomy uniwersyteckie, najwięcej przypada na literaturę (67), filozofię (17), medycynę (16), prawo (5), fizykę (1).

— Prezydyum związku stowarzyszeń kobiecych w Niemczech postanowiło zorganizować biuro prasowe, którego zadaniem będzie prostowanie fałszywych wiadomości podawanych przez dzienniki w sprawach kobiecych.

— W Paryżu studyuje medycynę 129 kobiet (91 Polek i Rosyanek, 29 Francuzek, 5 Rumunek, 2 Niemki, 1 Szwajcarka i 1 Angielka); na wydziale literackim zapisanych jest 206 Francuzek i 57 cudzoziemek, do szkoły prawa uczęszczają 2 Fran., 1 Rosyanka, 1 Polka.

— W zarządzie miejskim Bostonu po raz pierwszy kobieta Miss Elżbieta Taylor została członkiem wydziału prawnego.

— Na Kubie przy ostatnim spisie ludności obowiązki rachmistrzów spełniały kobiety z doskonałym powodzeniem.

— Rektor uniwersytetu berlińskiego wydał rozporządzenie, że z pośród poddanek rosyjskich te tylko petentki przyjmowane być mogą, którym na mocy świadectwa gimnazyalnego przysługują prawa nauczycielek. Nowe obostrzenie!

— Za przykładem angielskim (p. artykuł w nr. 11 r. b.) wniesiono do Izby francuskiej żądanie krzeseł i miejsca do wypoczynku dla kobiet w sklepach.

— W Chile kobiety mają wolny dostęp do uniwersytetów. Liczą tam już 5 lekarek i 2 kobiety zajmujące się prawem.

— Berlińska Akademia umiejętności mianowała swoim członkiem honorowym panią Elizę Wentzel-Heckmann, która w r. 1894 ofiarowała 1½ miliona marek na cele naukowe.

Londyńska szkoła medyczna dla kobiet ogłasza statystykę, według której w tym wyższym zakładzie naukowym otrzymało wykształcenie 254 kobiet. Większość tych lekarek pracuje w koloniach. W Indyach w każdem niemal mieście znajduje się lekarka, wiele ich jest w Chinach, kilka w Afryce polud.

— W Wiedniu udzielono pozwolenia na wykonywanie praktyki lekarskiej drugiej z rzędu kobiecie, pannie Georgini von Rott.

Paszporty. Niemiecki konsulat generalny w Warszawie otrzymał z kancelaryi ambasady niemieckiej w Petersburgu urzędowe zawiadomienie, że osoby, udające się z paszportami rosyjskimi do Niemiec, zwolnione są od wizy i poświadczeń w konsulatach. Osoby udające się do Niemiec przez granicę austro-węgierską powinny przedstawić swoje paszporty do wizy w konsulacie austryacko-węgierskim.

Milionerzy amerykańscy tworzą już całą wielką piramidę: na szczycie osamotniony spoczywa John D. Rockefeller (250 milionów dolarów), następnie idą: Korneliusz Vanderbildt (125 mil. dol.), Andrew Carnegie (120 m. d.), William K. Vanderbildt, J. J. Astor i W. Rockefeller (po 100 mil. d.). Świeżo tę galeryę powiększył niejaki Adolf Menell-Sayre, który liczy zaledwie 24 lata, przed czterema laty miał w majątku 40 tysięcy dolarów, a obecnie „dzięki" spekulacyom giełdowym zdobył 35 milionów dolarów! Zajmuje on w tej szlachetnej statystyce 11-te miejsce.

Sprawy kolonizacyjne. Dziennik paryski *Matin* ogłosił list żołnierza francuskiego, który brał udział w zdobyciu oazy podczas niedawnej kampanii francuskiej w Afryce: „...Pod naciskiem infanteryi udało się nareszcie złamać opór nieprzyjaciela. Nie ma się wyobrażenia, jak działają nasze armaty: wszędzie leżały trupy, tułowia bez głów, ramion, nóg, mężczyźni, kobiety, dzieci, konie i wielbłądy pospołu — wszystko zupełnie albo prawie martwe. Na 1,200 mieszkańców wzięto do niewoli 160 — pozostali polegli na placu..." *Matin* dodaje: „To ich własna wina; czemu stanęli na drodze cywilizacyi." Pozostali przy życiu mieli istotnie kilka przykrych chwil, ale jakie za to otrzymają wynagrodzenie! Otrzymają koleje z wagonami I, II i III klasy; poznają telegraf, telefon i fonograf — rzeczy, których dotychczas nie znali; w dni świąteczne przybędą do nich ludzie w pięknie tkanych ubiorach i wygłoszą mowy, w których usłyszą wiele o solidarności i dążnościach społecznych; a władze nasze przez usta tych pośredników zapewnią ich o sympatyach i opiece. Zrozumią łatwo i niebawem, że nie nie stracili, a zyskali to wszystko, czem my się chełpimy: prawodawstwo, rozporządzenia administracyjne, policyę, poborców podatkowych itd., a może być, że kiedyś otrzymają prawo wyborcze. Wtedy pojmą, że dla ich własnego dobra wyrznęliśmy i zatłukliśmy bombami melinitowemi ich braci, żony i dzieci! Już sama myśl o tem, że będą mogli rościć pretensye do tytułu „cywilizowanych," będzie dla nich pociechą."

Zdrowie publiczne. Ze względu na doniosłe znaczenie służby lekarskiej na kolejach, ministeryum komunikacyi postanowiło jej nadać zupełną samodzielność. Prawa urzędników lekarskich zrównane będą z innymi urzędami.

Tramwaje. W „Zbiorze praw" ogłoszono koncesyę na budowę w Sosnowicach i Dąbrowie tramwaju elektrycznego, wydaną na 35 lat p. Stanisławowi Ciechanowskiemu. Długość linij tramwajowych 58 wiorst.

Telefony. *Syn Otiecz.* zapewnia, iż wkrótce rozpoczęte będą roboty około połączenia telefonem Petersburga z Warszawą.

Wystawy i zjazdy. Postanowiono zwołać w Petersburgu wszechpaństwowy zjazd górników.

— D. 12 sierpnia otwarty będzie w Paryżu kongres międzynarodowy hypnotyzmu doświadczalnego i leczniczego.

— Do szeregu zjazdów, które mają się odbyć u nas z powodu 500 rocznicy Wszechnicy Jagiellońskiej, przybywa „Kongres dla spraw oświaty ludowej," zwołany na drugą połowę lipca r. b. Obrady kongresu obejmą: wykształcenie elementarne dzieci, szkoły dopełniające, szkoły dla analfabetów, ludowe szkoły zawodowe, czytelnie i wypożyczalnie, wykłady i kursy popularne, uniwersytety ludowe, teatry i koncerty ludowe, organizacyę czytelnictwa domowego, nauczycielstwo, muzea, wydawnictwa, księgarnie ludowe itd. Kongres zostanie podzielony na 5 sekcyj: I sekcya wykształcenia szkolnego, II kształcenia pozaszkolnego, III pedagogiczna, IV pism i wydawnictw ludowych, V organizacyi oświaty.

Konkurs. W początkach września odbędzie się w Petersburgu konkurs zecerów na szybkość składania bez błędów gramatycznych. Drugi konkurs ma być urządzony na roboty akcydensowe, przyczem pod uwagę wzięte będą udoskonalenia w technice drukarskiej, strona artystyczna roboty, kompozycyi, dobór barw. Konkursy te organizuje Towarzystwo działaczy na polu drukarstwa.

Sprawy ekonomiczne. W Petersburgu powstała rosyjska Izba handlowa. Zadaniem jej będzie ułatwianie stosunków handlowych między Rosyą a Francyą. Taka sama instytucya ma powstać również w Niemczech.

Katastrofy. Na wystawie w Paryżu załamał się most w chwili, gdy pod nim znajdowała się publiczność. Kilka osób zabitych, kilkadziesiąt ranionych.

Zmarli. Michał Munkaczy, znakomity malarz węgierski, w Bonn.

— Albert Wilczyński, we Lwowie, powieściopisarz, pełen zdrowego humoru, popularny autor „Kłopotów starego komendanta."

Odpowiedzi Redakcyi.

Debiutantowi. Oktawy napuszone i nieszczere, upstrzone dziwolągami językowymi, rym i rytm srodze kulawe.

P. St. Wid. w Warszawie. Kosz redakcyjny pełen jest tych „Nastrojów," w których kochanek „klęka i płacze" a „kochanki oczy nagle zakipiały łzami."

Panu K. Kłob. w Warszawie. Zarzut niesłuszny, autor bowiem, używając dość utartego w naszej mowie porównania, nie miał bynajmniej zamiaru ubliżania ludziom pracy. W powszechnie znanych przenośniach i przysłowiach przechowało się mnóstwo dawnych sądów, w sposób złośliwy charakteryzujących rozmaite stany, zawody i osoby. Dziś przenośnie te, częstokroć przestarzałe, niesłuszne a nawet niezrozumiałe, stanowią bogactwo języka i użycie ich nie powinno nikogo obrażać.

Zarządowi wodociągów lubelskich. Z powodu nieobecności autora artykułu i odpowiedzi, list Szan. Panów wraz z odpowiedzią zamieścimy w jednym z numerów następnych.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Апрѣля 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.